

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr 4.

31. Stycznia.

1875.

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

Cena przedpłaty:

Rocznie: 6. Zlr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. " = 2. " = 2. " = 7. "
Kwartalnie: 1. 50. " = 1. " = 1. " = 3. 50. "
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr.
1 Fr. 25 cent.

PRENUMERATĘ PRZYJMĄ:
nakładca A. Otremba księgarz w Krakowie, oraz wszystkie większe księgarnie w kraju i za granicą.

W Warszawie skład główny w księgarni Ferdynanda Hörsika. W Poznaniu I. K. Żupańskiego. — W Paryżu Librairie de Luxembourg.

BIURO REDAKCYI:
Mikołajska Nr 437 w Krakowie.

ADMINISTRACYA:
w księgarni A. Otremby nakładcy w Krakowie.

Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Administracya po 6 ct. od wiersza.

Treść.

59. Iwanowska: Słowa żywota czyli pismo święte.
60. Trentowki: Panteon wiedzy ludzkiej.
61. Maciejowski: Historia włościan... w Polsce.
62. Wisłocki: Kodex pilźnieński ortyłów Magdeburgskich.
63. L. Górski: Nasze błędy w gospodarstwie folwarcznem.
64. Skomorowski: Rozbiór teorii Darwina czyli geneza gatunków ze stanowiska racjonalnej krytyki.
65. Sempołowski: Beiträge zur Kenntniss des Baues der Samschale.

66. Wolfring: Beitrag zur Lehre von den contagiösen Augenentzündungen.
 67. Osowiecki: Dwa przypadki wycięcia jajnika.
 68. Lenartowicz: Listy o Adamie Mickiewiczu.
 69. Iliady księga I. przekład przez E. C.
 70. Rapacki: Wit Stwos.
 71. Celichowski: Dwa Kalendarze na r. 1528 i 1529.
 72. Tenże: Ars moriendi.
- Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Z nowym kwartałem uprasza się pp. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty. Nowoprzystępujący mogą także nabywać po cenie prenumeracyjnej numera z pierwszego kwartału: stanowią one będą z numerami z r. b. (1875) jedną całość t. j. pierwszy rocznik „Przeglądu krytycznego,” do którego dołączy się tytuł i spis recenzji w nim zamieszczonych a nadto pogląd ogólny na całą literaturę z r. 1875. Współudział okazany przez publiczność „Przeglądowi krytycznemu” już w pierwszym kwartale jego istnienia, zapewniając mu trwały byt, dowiódł zarazem najlepiej, że wydawnictwo to odpowiada rzeczywistej potrzebie. — PP. Autorowie i nakładcy, życzący sobie, aby o ich publikacjach podana została natychmiast wiadomość bibliograficzna a później w najbliższym czasie krytyczna ich ocena, zechcą takowe nadsyłać do Redakcyi zaraz po ich ogłoszeniu.

Wydawca.

Teologia.

Felicya Iwanowska: Słowa żywota czyli pismo święte starego i nowego przymierza w rodzinnem grobie opowiedziane. Kraków 1874. Tomów 5. Str. 704; 526; 738; 650; 739. 8^o.

59] Nie masz wątpliwości dla każdego, byle tylko nieuprzedzonego i bezstronnego badacza, że pismo święte jest jedyną księgą, na której znamiona boskiego jej pochodzenia niezatartemi głoskami są wyrte. Jakiś nadprzyrodzony urok owiewa całą tę księgę jakby świadek nieodłączny tego boskiego jej pochodzenia, a najciszejsze byle tylko bezstronna i sumienna krytyka po tylu doświadczeniach nie innego o niej wyrzec nie może. To też nie o pismo św., przed którym korzy się wszelka wiedza i powaga ludzka, ale — mając przed sobą dzieło, które w celu przeważnie wychowawczym, wzięło sobie za zadanie streścić i wytłumaczyć pismo św., — o wpływie pisma św. parę słów powiedzieć chcemy: wpływ bowiem oryginału będzie w znacznej części i wpływem jego kopii. Wpływ zaś ten widny jest szczególnie w dwóch epokach życia ludzkiego: w starości, kiedy człowiek po wielu doświadczeniach i zawodach przyznać musi, że tylko w tej księdze żywota prawdziwe uspokojenie i oparcie dla swych nadziei znaleźć może, — i w wieku rozwijającej

się dopiero młodości, kiedy dusza wrażliwa na wielkie prawdy boże, wita je, według wyrażenia Platńskiego, jakby dawne znajome, niemi się cieszy, z niemi się zaprzyjaźnia i, że tak powiem, spokrewnia; bo, jako powiedział inny mędrzec, chrześcijański, Tertulian: dusza nasza już z natury chrześcijańska.

Z tego już wynika, że wielką usługę oddają ci, którzy pismo s. biorąc za podstawę wychowania, na niem kształcą umysł i serce młodzieży. Świat wyobrażeń dziecięcych łączy się natychmiast z tym światem myśli i wyobrażeń zawartym w piśmie św., tworząc z nim jedną całość, która dając rzetelną podstawę do najlepszego wychowania dziecięcia, dostarcza zarazem najzdrowszego materiału do dalszego rozwoju w młodzieńczym wieku, a nakoniec staje się źródłem pociech i ukojenia w starości, kiedy powoli wszystkie ziemskie pociechy opuszczają poczną. Tak więc odrazu pismo św. chwytając w swoje miłościwe ramiona całe życie człowieka i karmiąc je od najpierwszego dzieciństwa mlekiem słowa bożego, zapewnia mu najzdrowszą strawę w przyszłości, kiedy dusza rozwijając się, zdąża ku coraz wyższemu prawdom, dla których stworzona, i które jedynie, jako powiada Augustyn św., nasycić ją mogą.

Ten wielki wpływ pisma św., mianowicie na dzieciństwo i młodość człowieka, miała na oku, jak się zdaje, szanowna autorka, kiedy postanowiła napisać i wydać

wyżej przytoczone dzieło; i można powiedzieć, że o ile to od niej zależało, zupełnie cel swój osiągnęła. Górująca myśl pocziwa podania młodemu wiekowi najodpowiedniejszego pokarmu i wielka praktyczna doniosłość tego dzieła zapominają o usterkach, o których w dalszym ciągu wspomnimy, a całą uwagę zwrócić na błogie owoce, jakie ta księga w rękach młodszych, a nawet i starszych wydać może. Bo jak między słuchaczami babuni znalazł się także taki pan Szymon, Filip i inni, którzy z wielkim pożytkiem i zbudowaniem dla siebie opowiadają i nauk jej słuchali, tak i między czytelnikami tej książki mogłoby się niejednego starszego znaleźć, któryby przez jej czytanie nadzwyczaj wiele mógł skorzystać. Tem bardziej że pismo św. nie jest wcale tak dostępne, a nawet bez komentarza nigdy czytane być nie powinno, co znowu wymaga wiele trudu i czasu; podczas kiedy w dziele, o którym mówimy, nietylko pismo św. w gotowym już, że tak powiem, ekstrakcie, podano, ale nadto i wszystkie jego głębokie tajemnice i pełne znaczenia wypadki i przypowieści w duchu czysto kościelnym są wytłumaczone. Do wielkich bowiem zalet tego dzieła należy, że autorka nigdzie własnych domysłów lub mniemań nie podaje, ale wszędzie stara się odgadnąć myśl kościoła i tłumaczenie swoje jedynie na uznanych przez kościół powagach opiera. Ztąd wykład ciągle równy, poważny, ścisły, umiejętny, przytęm pełen tego wyższego namaszczenia, jakie wykładowi i nauce kościoła ciągle towarzyszy. Czytający to dzieło katolik może na niem zupełnie polegać, tem bardziej, że jak szanowna autorka w przedmowie wspomina, poprawiał je, a nawet pracę około niego podzielał z nią znakomity teolog, którego też kierownicza ręka widoczna jest w całym dziele. Inną zaletą tego dzieła jest, że opowiadanie i wykład pisma św. przeplata przykładami wziętymi z praktycznego życia lub wypadkami, jakie w ciągu opowiadania zaszły w słuchającej je rodzinie, co właśnie całemu temu opowiadaniu wiele wdzięku i żywości dodaje. Tak np. nawrócenie się Ratisbonne'a, budowanie kościoła, wesela albo śmierci, albo ów obrazek o starym wojskowym, który zmierzył Europę od końca do końca, a na starość uczy się katechizmu od swej córki.

Obok tych wielkich i górujących nawet zalet, powinność krytyczna każe nam wspomnieć także o niektórych brakach i niedostatkach. Dotyczą najprzód samego układu dzieła. Napisane przeważnie w formie pytań zadawanych babuni przez dzieci i odpowiedzi jej na nie, zajmuje ono oczywiście daleko więcej, niż gdyby było napisane w formie jednostajnego, manotonnego opowiadania; ale forma ta obok wielkiego wtajemniczenia się w życie dziecięce, wymaga nadzwyczajnej przenikliwości i zręczności, żeby cała ta rozmowa wyglądała jakby podchwyciona na uczynku, u nie naciągana dopiero stosownie do celów i potrzeby autora. Temu zadaniu autorka w znacznej części uczyniła zadość, lecz nie ze wszystkiem. Nie ma wątpliwości, że dzieci, zwłaszcza dobre i niewinne, z wielką ciekawością słuchają opowiadania pisma św. i zarzucają opowiadającego tysiącami pytaniami, z których nie wszystkie kwalifikują się do umieszczenia w poważnym dziele; atoli te, które są umieszczone, jak z jednej strony muszą uwzględniać te miejsca pisma św., które wymagają objaśnienia lub jakiś związek z następnymi partjami opowiadania przedstawiają, tak z drugiej strony muszą uwzględniać wiek

dziecięcy, który nie pozwala dzieciom pytać się jeszcze o to, co nie leży w zakresie ich wyobrażeń. Pytania zaś te, jakie stawiają Julek, Ernestynka lub nawet starszy od nich Zygmunt, zdają się już zdradzać jakąś wiedzę teologiczną i w ogóle są nad wiek, co jeżeli poraga do posuwania naprzód opowiadania i włączenia niektórych objaśnień trudniejszych miejsc pisma św., za to grzeszy przeciwko naturalności, która więcej przestrzegana, większy jeszcze na całe dzieło urok rozlaćby mogła. Są też gęste błędy przeciwko składni języka, wyrażenia często niepoprawne, jak np. „pojedynkowie“, „bardzo wkrótce“, co wszystko przy następnym wydaniu koniecznym usunięciem być winno. Być może, że i treść sama dałaby się w niektórych miejscach jaśniej i zrozumialej przedstawić, zwłaszcza jeżeli to dzieło przedewszystkiem dla młodszego wieku jest przeznaczone, choć i starszy, jak już mówiliśmy, a nawet i kapłan czytający je wiele sobie przypomnieć, wiele nawet nowego nauczyć się może. Wszystkie te jednak usterki nikną obok wielkich zalet i pożytków tego dzieła, które nas powodują do szczerzego życzenia, aby ta księga znaleźć się mogła w ręku każdej rodziny, zwłaszcza takiej, która obfituje w niedorostłych członków, aby zwyczajem naszych przodków stała się lekturą codzienną, lub przynajmniej świąteczną w kołach rodzinnych, czyto wieśniaczych, czyto pańskich; bo wtedy i znajomość wiary naszej świętej byłaby i powszechniejszą i gruntowniejszą, i cnoty, które ta wiara szepci, nie byłyby tak rzadkie jak dzisiaj. X. J. B.

Filozofia.

Bronisław Trentowski: Panteon wiedzy ludzkiej lub pantologia, encyklopedia wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii. T. I i II. Poznań, Żupański 1873—74. Str. XIV i 546; VIII i 655 8vo.

60] Po rozbiciu się szkoły Hegla wszedł ruch filozoficzny naszego stulecia na nowe zupełnie tory. Bez względu na rozdział spekulacji i doświadczenia wobec wzrostu umiejętności przyrodniczych i mnożących się coraz bardziej bogactwa wiadomości ludzkich nie był już nadal możliwym; musiała więc odtąd filozofia, chcąc dojść do ogólnych a umiejętnych na świat poglądów, wejść w ścisły związek z naukami i zmierzać do celu swego przez krytyczne badanie i umiejętne rozszykowanie całej olbrzymiej rozmaitości wyników badań i pojęć naukowych. Na tym to świeżym a pełnym treści gruncie, zdobywszy sobie nowe podstawy, dzieli się dziś znowu dążenia filozoficzne na dwa wrogie kierunki: na nowo odwieczna rozpoczyna się walka między filozoficznym indywidualizmem a panteizmem; wszystkie stronnictwa powoli w jednym z tych dwóch nikną prądów. Materyalizm dzisiejszy już dawno doszedł do panteizmu tj. do tego, czem był zawsze w gruncie rzeczy; pozytywizm zaś nie mogąc utrzymać się na swym fikcyjnym stanowisku, — bo któż zdolny ściśle z góry oznaczyć gdzie się kończy zmysłowe doświadczenie, a gdzie zaczyna rozumowanie i jak daleko po za zakres zjawisk myślą sięgnąć można — rozstrzelił się po śmierci Comte'a na różnorodne kierunki. Littre błaga się między dwoma ostatecznościami (zob. ostatni jego artykuł w „Philosophie positive“), podczas gdy pozytywizm angielski — jak to widocznym jest z pośmiertnego dzieła Milla o religii i teizmie — albo

ku indywidualizmowi się nachyla, albo też — jak o tem świadczy ostatnie dzieło Lewesa — stanowczo na stronę panteizmu przechodzi. A w Niemczech myśliciele tacy jak Ulrici i Lotze, przeciwstawili metafizyce materjalistów swoją metafizykę, opartą także na wynikach nauki, a w której przecież jest miejsce dla pojęcia osobistego Boga i nieśmiertelności. O zwolennikach Schoppenhauera i Hartmanna nie ma co mówić, gdyż ci otwarcie do panteizmu się przyznają.

W tym ogólnym dziś chórze walki umysłowej toczącej się na gruncie nauki i badań umiejętności, między indywidualizmem a panteizmem, odezwał się także głos pośmiertny autora „Myśli:“ Bronisława Trentowskiego. Zapomniany prawie zakończył on niedawno żywot swój na obczyźnie, a teraz przypomina się wielkim dziełem, którego dotąd wyszły dwa pierwsze tomy. Nie możemy wdawać się tutaj w obszerny rozbiór „Panteonu wiedzy ludzkiej:“ chcąc rzecz wyczerpnąć wypadłoby nie artykuł ale całą napisać rozprawę. Radziłobyśmy tylko oznaczyć stanowisko tej niepospolitej pracy w ogólnym dzisiaj ruchu filozoficznym i krytycznie ocenić jej układ i zadania.

Autor zamierzył sobie w panteonie objąć wszystkie nauki i umiejętności ludzkie, wszystkie opisać i zbadać, całe drzewo wiadomości ludzkich rozpoznać i na takiej podstawie zbudować wielki system filozofii. Potężnym zaiste musi być ten prąd, który cały ruch filozoficzny ogarnął, jeżeli Tr., ten niegdyś zwolennik jedynie spekulacji z pojęć a priori, opuszcza zajmowane dotąd stanowisko i schodzi na grunt rzeczywi- tej nauki, aby objąwszy ją całą zbudować z niej jeden wielki wszystkie umysłowe skarby obejmujący panteon. Ale w świątyni tej nie panteizm ma być religiją, Bogiem tu Bóg osobisty chrześcijański. Dwojaki cel wskazywali zawsze myśli polskiej, wszyscy głębsi myśliciele nasi razem z Krasińskim Zygmuntom największym w tem stóleciu poetą filozofem: ma ona dążyć do wznie- sienia się nad jednostronne a z sobą sprzeczne kie- runki umysłowe zachodu i winna w zasadniczych po- jęciach swych przewyciężyć panteizm. Ten dwojaki cel ma na oku w dziele swem i Tr. Uznając ducha dzisiejszych dążeń filozoficznych, pisze we wstępie (na str. 27 t. I), że celem najważniejszym jego dzieła jest: „Odślonienie drzewa wiedzy ludzkiej lub pod- dział, rozszykowanie, ucałokształtowanie nauki i umie- jętności.“ Pod tym względem „Panteon“ ma cel podo- bny jak i prace Comte'a, Spencer'a i innych. Tr. rad- by wiedzę wszechstronnie ogarnąć i podać „wszechna- uk i umiejętności reformę“ (str. 29); dąży do pogo- dzenia sprzeczności w jednym powszechnym widoku, do pogodzenia idealizmu z realizmem, empiryi ze spe- kulacją, nauki z filozofią, filozofii z teologią: wszyst- kie te sprzeczności mają się u niego w harmonią po- łączyć „różnojednią.“ Drugi zaś cel wskazuje nam autor wyraźnie gdy pisze (na str. 93 t. I): „Dziwny to bardzo obłęd i zatór ludzkiego myślenia, iż dotych- czasowa umiejętność mogła jakiś tam ogół siebie sa- mego nieświadomy jakiś tam bezmiar garnek pusty stawić wyżej od osobistości będącej jego ją- drem i sercem z niebios, jego przeświadczeniem, rozu- mem i wolą, jego alfa i omegą; iż podnosiła całość martwą a opuszczała żywą w niej całość! Absolut nasz znaczący osobistość lub Boga osobistego, przygo- towywa tryumf chrześcijaństwu w najgórniejszej dziel- nicy krzepkich i myślących głów, a wyprowadza umie-

jętność dotychczasową z niżyn przyrodzenia ogólnego ducha lub tego świata na Himalaju wyżyny boże. Tak absolutem osobistość a najrzetelniejszą, najgłębszą i naj- górniejszą mądrością chrześcijaństwo.“

Najwyższy przeto cel tego dzieła jest w rzeczy sa- mej różnym zupełnie od przeważającego dziś we filo- zofii ducha, jest oryginalny, a z całą umysłową prze- szłością naszą zgodny. To też w dziele Tr. filozofia polska występuje niezależną od filozofii niemieckiej i niepo- trzebującą — jak tego dzisiaj znowu niektórzy pra- gną — być prowadzoną na pasku przez pozytywizm. Każdy naród wtedy tylko może we filozofii coś zdzia- łać, jeżeli umie przyjąć zasiew w oryginalny i w je- go przeszłości i charakterze uzasadniony rozwinać spo- sób. Samodzielność ważnym jest we wszystkich nau- kowych badaniach czynnikiem, a cóż dopiero w bada- niach filozoficznych rozwijających z nauki i z nauko- wych badań całość jednej umysłowej świątyni. To ory- ginalne, samodzielne a do wznieśnienia się nad jedno- stronne kierunki dążące stanowisko jest największą za- letą „Panteonu“ i zapewnia dziełu temu poważne miej- sce w dziejach myśli polskiej. Dodajmy jeszcze, że styl i język w tem dziele pośmiertnem o wiele jest czystszy i piękniejszy aniżeli w dawniejszych pra- cach Tr. Dziwacznych, śmiesznych i nowoukutech wy- razów bez porównania tu mniej (znajdują się jednak); żywość i plastyka w przedstawieniu wielka, czasami trochę rubaszna, szczególnie w polemice; ale nieraz znowu w prawdziwe przechodząca natchnienie, czego przykładem wspaniała na końcu wstępu modlitwa. Panteon jest więc w rzeczy samej dziełem niepospoli- tem, podstawa jego świeża, cel wszechstronny a ory- ginalny, myśli długą widocznie wytrawione pracą a w pełną życia i ciepła ujęte formę.

Niestety przechodzi teraz odwrotna strona medalu! Słabe zaś strony tem więcej uderzają, im wyższy zakrój całości. Wady Panteonu są tak wielkie, iż główny praktyczny cel, jaki sobie Tr. w nim wytknął, tj. aby dzieło jego było dla młodzieży polskiej filozoficzną propedeutyką, a dla nauczających filozoficznym prze- wodnikiem, musimy nazwać zupełnie chybionym. Wa- dy zaś te ztąd pochodzą, że Tr. nie zerwał stanowczo z dialektyczną spekulacją z pojęć a priori przyjmowa- nych: w słowach wyrzekł się stanowczo Hegla, ale duchem jego dialektyki pozostał przejęty. Zdaje mu się, że widzi wielki świat nauki takim, jakim on jest w rzeczywistości, a tymczasem widzi go przez okulary własnych spekulacji. Aprioryzm w dowodzeniu i dowol- ność w naukowych konstrukcjach, oto najgłośniejsze słabe strony „Panteonu;“ rozdzielono tu zupełnie rze- czy, które najściślej do siebie należą, jak np. formę od treści, nauki formy od nauk treści, matematykę od nauk przyrodniczych; przesadzając zaś znowu we wszech- stronności, zestawiano obok siebie rzeczy tak sprzeczne, jak doświadczenie a posteriori i spekulacją a priori.

Ale zamiast poruszać się w ogólnikach przypatrz- my się rzeczy bliżej. Jednem z najważniejszych zadań dzieła Tr. jest podział i ucałokształtowanie nauk i umie- jętności, aby je w jednym ogólnym pomieścić syste- mie. Jakiż to więc jest ten podział? Oto naprzód dzieli Tr. ogólnie cały zakres wiedzy na trzy wielkie od- działy a wedle tego pracę swą na trzy główne części, z których każda obejmuje jeden z trzech zakresów: teologia, kosmopeja, filozofia, oto trzy główne „kona- ry na drzewie wiadomości ludzkich;“ nauki o tamtym

świecie, o tym świecie i o tym i o tamtym razem. Już ten podział ogólny dziwnie wygląda! Jakaż to teologią stawia Tr. na czele? Dwojakiego rodzaju teologią można sobie wyobrazić: albo teologią na objawieniu opartą jako naukę obejmującą umiejętnie całość prawd objawionych; teologia taka mogłaby być postawioną na czele wszystkich nauk i umiejętności, ale w takim razie musi ona ściśle trzymać się objawienia i pewnej powagi będącej jego tłumaczem. Albo też możemy sobie wystawić także teologią rozumową czyli raczej teozofją, która przez poznanie świata i człowieka dąży choćby tylko do niewyraźnego poznania Boga, która pewne najwyższe prawdy stawia jako konieczny wynik ludzkich rozumowań i badań. Teologia taka może się zgadzać lub niezgadzać z teologią na objawieniu opartą; nie może ona jednak na żaden sposób być postawioną a priori, ale tylko jako konieczny wynik; w przeciwnym zaś razie będzie powrotem na Heglowskie stanowisko. Rozumiemy Lotzego, który na końcu swego „Mikrokosmos“ jako ostateczny wynik wypowiada tę wspaniałą prawdę, że istnieje tylko Bóg osobisty i świat osobistych przez niego stworzonych duchów; ale nie rozumielibyśmy zupełnie prawdy tej na początku. Jakaż zatem jest ta teologia stojąca na czele w hierarchii nauk u Tr.? Tłumaczy nam to na str. 116 (tom I.): „prawie się tu będzie nie o rzymskokatolickiej, nie o protestanckiej, nie o angielskiej, nie o mahometańskiej, buddystycznej lub innej jakiej teologii wyłącznie i szczegółowo jako się to dzieje po seminariach, ale o teologii w ogóle lub o teologii takiej, która wszystkich pojedynczych teologii a właściwie wiar ukazuje się ramami i piastą.“ I takie przedstawienie teologii w ogólności dałoby się usprawiedliwić, gdyby autor przechodził po kolei wszystkie systemy teologiczne wszystkich religii, i z pomocą porównawczych badań wykazywał, co one mają w sobie wspólnego, a w czem się różnią. Tego on jednak wcale nie czyni i wybiera sobie tylko między prawdami teologicznymi te, które mu się podobają. Teologii takiej, a szczególnie na czele całej hierarchii nauk, na żaden sposób pojąć i zrozumieć nie możemy, tem więcej, że Tr. wymienia później teozofją jako część filozofii. Jest ona przeto tylko fikcyjną, wedle sposobu widzenia autora przykrojoną, nauką o rzeczach świata tamtego, i ani racjonalną, ani na objawieniu opartą nazywać jej nie można. I dla tego jest równocześnie najstarszą całego dzieła częścią, błędem który ma swoje źródło w dawnej dowolnej metodzie spekulatywnej. Tr. przypuszcza a priori jakieś mistyczne wszystkim religiom wspólne objawienie, ale twierdzenia tego niczem nie uzasadnia, ani go nie rozwija. A wreszcie wymyślił sobie nawet „prawego i gorliwego teologa wszech wyznania religijnego“ (str. 125 tom I i inne) i w tem wszystkim na własnej tylko opiera się powadze.

Drugi dział Panteonu stanowi kosmopeja, a trzeci filozofia. Zdawać by się mogło, że dział drugi obejmie wszystkie nauki szczegółowe w jednym organizmycznym układzie, że połączy całą zdobytą dotąd wiedzę o świecie, aby ją w dziale trzecim przekształcić we filozoficzne, spekulatywne wyniki. Tymczasem myśli by się ten bardzo ktoś tak sądził. Kosmopeja obejmuje wszystko: i nauki szczegółowe i filozofją, i doświadczenie i spekulacyą, metafizykę i wszystkie inne gałęzie wiedzy; w niej one wszystkie mają być opisa-

ne; dział zaś trzeci ma zawierać samą czystą nową filozofją autora, która godzi i w sobie wszystkie jednoczy sprzeczności. W dziale kosmopei więc najsprzeczniejsze pomieszczone są rzeczy. Dzieli się ona na trzy znowu części czyli pieśni, „peany“: na Stereognostykę czyli nauki o trześci tego świata, na Morfozykę czyli nauki o formie tego świata, i na Etykę czyli nauki o jego istocie, o człowieku. Podział ten kosmopei jest najzupełniej dowolnym; rozdzielono tu nauki, które ściśle z sobą się łączą, jakoto matematykę i umiejętności fizyczne; te ostatnie należą do Stereognostyki, a matematyka do Morfozyki. Treść poprzedza formę: matematyka, bez której nauki ściśle ani kroku postąpić nie mogą, która jest wzorem umiejętnej metody, gdzieś w drugiej dopiero tego działu pomieszczona jest część. W stereognostyce zato poznaczano razem najsprzeczniejsze rzeczy: nauki o treści świata dzielą się znowu na trzy rozdziały tj. na Empiryę, Spekulacyą i Humanistykę. Widzimy więc tutaj obok metody doświadczalnej zupełnie na równi z nią w naukach postawioną spekulacyą a priori jako jej dialektyczne przeciwieństwo. Jest to wszechstronność Heglowska, na którą wątpimy, aby dziś jaki badacz lub filozof się zgodził. Pytamy wreszcie co tu robi Humanistyka? wszak człowiek ma być przedmiotem trzeciej kosmopei pieśni czyli etyki? Oto Humanistyka obejmuje wszystkie nauki o człowieku i społeczeństwie i ma być niewiedzieć dla czego różnorodną przeciwieństw empiryi i spekulacyi (str. 71 tom I.), etyka zaś jest nauką o istocie człowieka, o moralności; dla czego moralność ma być istotą człowieka, tego nam Tr. nie tłumaczy; a oddzielona zupełnie od spekulacyi i humanistyki niewiedzieć właściwie, na czem się ta moralność opiera. Tak to dla formy aby wszędzie po trzy było części poświęcona jest jednolitość myśli i zasady.

W kosmopei zatem mieszcza się wszystkie nauki o świecie i człowieku, o przyrodzie i duchu, empirya i spekulacya; cóż więc pozostaje dla trzeciego wielkiego działu, dla filozofii? Oto ma ona być poglądem na świat ten i tamten ze stanowiska a totali czyli „kmiotowego“ obejmującego w sobie podmiot i przedmiot w jednej wyższej całości (str. 33—40 tom I.). Filozofją tak Trentowski określa na str. 26: „Filozofia to podstawa wiekuiста, treść tamedzna i istota nauk i umiejętności. Wywodzi je wszystkie z jednego pierwiastku i nawraca ku jednemu celowi, ożywia jedną myślą i wiąże w jedną całość, tworzy, piastuje i podpira. Sama nie potrzebuje żadnej z nich, lecz one obejść się bez niej nie mogą. Bez niej byłyby odmetem atomów i monad a nie złożyłyby się w jeden wielki świat. Jako z nasienia las, tak z niej wyrasta wiedzy ludzkiej drzewo. To spiritus creator!“ Co za dziwna mieszanina wielkich prawd i sprzeczności w tych słowach! A więc filozofia jedną myślą wiąże nauki, a bez nich obejść się może? Czemżeż więc jest bez nich? Czy może być czem innem jak czezą tylko spekulacyą?

Na str. 57 tomu I powiada Tr.: „Filozofia gruntuje się na niepodległym i umiejętnym a ciągłym na piersiach czasu trwającym i postępującem badaniu Boga, człowieka, świata i istoty rzeczy, lub na zgłębianiu coraz wszechstronniejszym pierwiastku, celu i związku we wszechistnieniu.“ Wielka prawda! Ale czyż filozofia taka może nie opierać się na wiekowej badawczej pracy ludzkości? Jest ona wprawdzie niezależną od nauk, ale bez nich tak samo by istnieć nie mogła, jakby nie

mogły istnieć nauki przyrodnicze bez przyrody: bo wiedza ludzka to przedmiot filozofii, a ona składając go i rozkładając coraz to wyższe doskonalsze tworzyć ma zeń całości. Czyż więc nauka może istnieć bez przedmiotu swego?

Dział trzeci Panteonu obejmujący filozofia, dotąd jeszcze nie wyszedł (drugi tom kończy się na morfologicznej czyli drugiej kosmopei części); trudno więc orzec o nim coś stanowczego na podstawie ogólnych uwag we wstępie do całego pomieszczonego dzieła. Nie mogąc zapuszczać się w rozbiór szczegółów, powtarzamy raz jeszcze: wielką oryginalną, dodatnią jest myśl przewodnia Panteonu; ale w samem przeprowadzeniu rzeczy widać górę zbyt speculatywną aprioryczność i dowolność. Dla tego też przypuszczamy, że i z panteizmem zerwał Tr. w słowach tylko stanowczo a nie w treści i w charakterze swojej filozofii. Jednakowoż czekajmy z ostatecznym sądem na dalsze dwa tomy, z których wydaniem wartoby się cokolwiek pośpieszyć. W szczegółach jest wiele rzeczy niezmiernie zajmujących: bardzo ciekawem jest to, co Tr. w humanistycznym mówi o myślicielach polskich (tom II str. 152—223); to co mówi przy matematyce o Wronskim (tom II str. 393—430). Całe dzieło w ogólności nadzwyczaj do myślenia pobudza, pełne bogactwa treści i poletu myśli; w wielu rzeczach dziwaczne, dowodzi jednak, że Tr. do najwyższych myśli ludzkiej wyżyn wznieść się potrafił. Dziwnie podniosły widok przedstawia wielki, choć pod wieloma względami skrzywiony, umysł tego niepospolitego a tak mało u nas znanego i cenionego człowieka, u którego najsilniejszą namiętnością było dążenie do poznania filozoficznej prawdy. M. St.

Nauki prawne.

Wacław Alexander Maciejowski: *Historia włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy XIX wieku.* Rozprawa konkursowa od Towarzystwa Przyjaciół nauk poznańskiego uwięczona nagrodą, którą z własnych funduszy August hr. Cieszkowski wyznaczył, a która to rozprawa pojawia się w druku jako drugi artykuł dopełnień do *Historii prawodawstw słowiańskich*. Warszawa 1874. Str. 409. 8vo.

[61] Leży przed nami książka napisana przez badacza, na którego niezmordowaną pracę kilka patrzyło pokoleń. Pominąć jej niepodobna, bo wszyscy o niej mówią; oceniać z pochłananiem nie wolno, bo przedmiot taki jak *Historia włościan w Polsce* niema równego pod względem doniosłości i wagi; a przytakiwać poglądom p. A. Maciejowskiego znaczyłoby szerzyć zdania, które, my przynajmniej, w wielkiej części za błędne i bezzasadne poczytujemy. Powiemy więc przekonanie nasze bez ogródki w tej myśli, że krytykując zapatrywania nie ubliżymy czci, jaką przejęci jesteśmy dla osoby autora.

Najnowsza książka p. M. nie jest niższą od jego dzieł poprzedzających: autor okazał szeroką znajomość najnowszej literatury, a w obrębie historii włościan w Polsce niema pytania z dziedziny ekonomii, filologii, historii, etnografii i prawa, którego tu nieporuszył. Atoli skrzętność ta w poruszeniu całego przedmiotu w odwrotnym stoi stosunku z jego zgłębieniem i opanowaniem — z ujęciem go w pewną przejrzystą i zrozumiałą budowę.

Pod względem zewnętrznym dzieło p. M. tem zasadniczo grzeszy, że niepodaje nam całkowitego obrazu historii włościan i ich stosunków w Polsce. Autor obawiał się w niem powtarzać tego, co już gdzieindziej powiedział. Ztąd w najważniejszych miejscach po zasadnicze pojęcia odsyła nas wyraźnie i domyślnie czyto do *Historii prawodawstw* czyteż nawet do drobnych swoich rozpraw po różnych miesiącach porozpraszanych. Chcąc więc książkę najnowszą p. M. zrozumieć, trzeba by nieustannie po innych pracach jego wertować; boć oczywiście żaden znawca prawa polskiego niepochlubi się tem, żeby pamiętał choćby w części wszystkie poglądy autora *Historii prawodawstw*. Dla znajomego przedmiot „*Historia włościan*” jest więc nieskończonem pasmem kwestyj, nad którymi się autor więcej lub mniej, lecz zawsze nierówno, rozwodzi, dla nieznanego jest rzeczą zupełnie niezrozumiałą. Autor przerzuca się z przedmiotu na przedmiot, a nigdy nieumie się utrzymać w granicach miejsca i czasu. Mówiąc np. o czternastym lub piętnastym stuleciu, cofa się nagle w wieki przedchrześcijańskie, w czasy słowiańskie przedhistoryczne, w epokę tak mało jeszcze zdeterminowaną, że zaledwo przedmiotem badań, lecz nie podstawą do wniosków naukowych być może. Autor znajdując dalej u pisarzy postronnych znaczny materiał naukowy do stosunków włościańskich w innych krajach słowiańskich, głównie zachodnich — nie wahał się stosować takowego do naszych włościan. Tymczasem źródła historyczne, jakie nam się w dyplomatach przechowały, wykazują, że stosunki włościan u nas były odmienne, niż u pobratymców zachodnich i że jedne i drugie zestawiać można obok siebie tylko dla uwydatnienia zachodzących pomiędzy nimi różnic.

Brak ograniczenia się do rzeczy pewnych i pozytywnych a obok tego brak krytyki w ogóle i w szczegółach, wreszcie styl gawędziarski wprowadzony do rzeczy naukowej, oto główne przyczyny, które pracy p. M. odjęły prawdziwą naukową wartość. Przypatrzmy się najpierw ogólnym ramom, jakie p. M. historii stosunków w Polsce zakresła — podziałowi jej na epoki.

Epoka pierwsza, zdaniem autora, sięga „od czasów najdawniejszych aż do uposażenia dobrami kościoła katolickiego.” Epoka druga „obejmuje czasy Piastów do Kazimierza Wgo.” Epoka trzecia „przypada na czasy panowania Kazimierza W. Władysława Jagiełły i synów jego.” Epoka IV „obejmuje czasy w których syn najmłodszy(!), wnukowie Władysława Jag. po mieczu i po kądzieli tudzież monarchowie obcego Piastom i Jagiellonom rodu rządy w Polsce i na Litwie sprawowali.” Epoka V. „Ózego sejmy nie spełniły przywódt do skutku monarcha błagany od Towarzystwa rolniczego, ażeby na uwłaszczenie włościan zezwolił łaskawie raczył.”

Na podział ten bezwarunkowo nie możemy się zgodzić. Jakie stosunki istniały w Polsce przed przyjęciem chrześcijaństwa, o tem żadnego realnego mieć nie możemy pojęcia. Pierwsze jednak nadania włości biskupstwu nie stanowią w historii stosunków włościańskich żadnej zasadniczej zmiany, bo nadania te działy się bez uwolnienia włościan od ciężarów należących się panującemu, który wówczas był wyłącznym właścicielem nie tylko ziemi ale i wszelkiej ludności włościańskiej ziemię tę zamieszkującej. Dopiero za podziałów kraju po śmierci Krzywoustego duchowieństwo korzystając ze słabnącej władzy książęcej, pracuje sku-

tecnie nad exempejami swych włości, synod łęczycki z r. 1180 (przez autora ignorowany) odzywa się głośno przeciw uciemnieniu ludu przez powinności należne panującemu, bo włościanin przeciążony temi powinnościami mało kościołowi przynosił pożytku.

Dopiero więc exempeje wsi duchownych tudzież wprowadzone przez klasztory kolonizowanie kraju i zakładanie wsi na t. z. prawie niemieckiem, sprowadziło w ciągu XIIIgo stulecia ogólny i stanowczy wywrót we wszystkich stosunkach włościańskich. Pod względem ekonomicznym miało ono ogromne znaczenie, bo kiedy osady pierwotne trudniąc się zrazu przeważnie chowem bydła i pszczoł, rolę tylko dorywczo i nieporządnie karczowały, to ludność osadzona na prawie niemieckiem karczowała na szeroką skalę lasy, zakładała wsie podług pewnego zgóry obmyślnego planu i prowadziła porządne gospodarstwo rolnicze. Pod względem prawnym zmiana stosunków niemniej była stanowczą.

W chwili wprowadzenia osadnictwa niemieckiego do Polski, ludność poddańcza dzieliła się na trzy główne kategorie. Pierwszą tworzyła czeladź dworska (servi), ludzie niewolni pełniący osobiste służby po dworach. Do drugiej należeli „ascriptitii“ również niewolni poddani posiadający ziemię i do niej wiecznie przywiązani. Trzecią stanowili „liberi“, należący także do ludności poddańczej, lecz nie zostający w zawisłości osobistej od dworu jak „servi“, ani też nieposiadający roli jak „ascriptitii“. Brali oni rolę w dzierżawę lub wynajmowali się do posług osobistych; zwani byli zwyczajnie łazekami i stali pod zarządkiem osobnych urzędników książęcych. Powstała zaś ta kategoria ludności po największej części w drodze wyzwolenia (manumissio) poddanych przywiązanych do gleby (ascriptitii). Książęta bowiem nadając wsie wraz z ludnością osiadłą klasztorom lub kościołom, zezwalali czasami, by klasztor tych osiadłych poddanych, którzy do wszelkich powinności poddańczych na rzecz księcia byli obowiązani, i tym sposobem stosunkowo mały pożytek obdarowanym przynosić mogli, z roli usunął i rolę na swój pożytek obrócił. Taka rola następnie przez czeladź klasztorną uprawiana, przynosiła znacznie większe dochody, a dawna ludność z roli wyzwolona szła w łazeki.

Zupełnie odmienny stosunek prawny ukształtował się we wsiach na prawie niemieckiem. Ludność podzieliła się tu na dwie klasy, kmieci i zagrodników, różniących się między sobą (o ile ze źródeł dotychczasowych dojść można) jedynie rozległością posiadanego obszaru. Kmiecie posiedli zwyczajnie po łanie, zagrodnicy w drobnych zagrodach czyli ogrodach siedzieli. Kmiec karczując swój łan przez lata swobody czyli wolności od czynszu, stawał się właścicielem tak wykarczowanej roli z obowiązkiem opłacania z niej pewnego czynszu tudzież dziesięciny zazwyczaj mądratowej lub pieniężnej. Mógł też pod pewnemi warunkami rolę tę opuścić i gdzieindziej się przenieść i t. d. W osobistej zawisłości od dworu nie zostawał zrazu wcale. Ta osoba kmiecia jest u nas czysto kreacją osadnictwa na prawie niemieckiem, nieznaną we wsiach pierwotnych, bo ani „liberi“ bez roli, ani „ascriptitii“ posiadający rolę lecz wiecześnie do niej przywiązani i bezwłasnowolni, kmieciami nazwani być nie mogą. Dopiero kiedy na wzór wsi prawem niemieckiem osadzonych, poczęto z końcem XIII i coraz częściej w XIV

wieku urządzać wsie polskie za wzorem niemieckim przez udzielanie exempej i ustanawianie jurysdykcji sołtysiej, ludność takiej wsi dzielono również na kmieci i zagrodników, i wtedy dopiero powstał kmiec na prawie polskiem, o jakim w statucie wiślickim jest mowa.

Kontyngensu kmieci do świeżo zakładanych wsi dostarczali głównie koloniści tudzież ta klasa poddańcza, która nieprzywiązana do gleby ani nie zostająca w osobistej zawisłości do dworu (liberi), porzuciła z chęcią czynszową dzierżawę lub pracę najemnika, aby wykarczowawszy sobie czasem łan ziemi, zostać jej właścicielem wolnym (prócz niskiego czynszu i dziesięciny) od wszelkich prestacji i od uciążliwej jurysdykcji różnorodnych urzędników i służebników książęcych.

Pod względem wreszcie administracyjnym i sądowym nadawanie prawa niemieckiego zupełny stanowiło przełom. W dawnym prawie polskiem osady wiejskie nie tworzyły żadnej administracyjnej jednostki. Wszystko to, co mówią o jakiejś „gminie słowiańskiej“ w Polsce, jest czeczym wymysłem, w źródłach autentycznych nieznanym. W źródłach tych zachowały się zaledwie jakieś słabe ślady władzy patryarchalnej w rodzinie a zresztą cała pierwotna administracja sądowa i polityczna jest czysto państwową, centralistyczną. Najniższą jednostką w tej administracji było pod względem skarbowym i wojskowym „opole“, kilka lub kilkanaście obejmujące osad, a sądy kasztelańskie były właściwą jurysdykcją ludności włościańskiej. Od czasu zaś lokacji wsi na prawie niemieckiem powstaje dopiero gmina wiejska autonomiczna, w której sołtys z ławnikami sądy i rządy niezawisłe sprawuje.

Ten ogromny przewrót stosunków włościańskich, który się z końcem XIIIgo stulecia utrwalił, nie wpadł zupełnie w oczy p. Maciejowskiemu. Nie tworząc natomiast nowej epoki w połowie XIIIgo stulecia, tworzy ją p. M. bez żadnej podstawy z chwilą objęcia rządów przez Kazimierza Wgo, kiedy w stosunkach powstałych przez exempeje i lokacje wsi na prawie niemieckiem nie zgoła się nie zmieniło i owszem wszystko się rozszerzało i ustalało. Zmiana nowa nastąpiła dopiero z początkiem XVIgo stulecia, do którego to czasu rozciąga się druga epoka według naszego pojęcia. Epoka trzecia zwolna się przygotowała a poprzedziło ją ciekawe zjawisko. Oto stan owych włościan, którzy pozostali własnością panującego polepszał się stosunkowo w miarę rozwoju cywilizacji i słabnięcia władzy monarszej a przynajmniej nie pogarszał się, bo panujący nie mieli interesu włościan swoich ciemnić. Przeciwnie działało się we włościach prywatnych i kościelnych osadzonych chociażby i na prawie niemieckiem. Najpierw przywilejem koszyckim z r. 1374 szlachta uwolniła wszystkich swoich włościan od ciężarów królewskich nato oczywiście, aby im swoich własnych tem więcej nałożyć. Potem szlachta zniosła ostatecznie statutami z r. 1454 i 1496 sądownictwo kasztelańskie czuwające dotychczas nad chłopem, a wreszcie samorząd prawa niemieckiego począł coraz to więcej pod uciskiem szlachty słabnąć i sam przez się upadać. Kmiec wolny i zamożny był solą w oku szlacheica, który go z końcem XVIgo wieku przykuł ostatecznie do roli i ujarzmił.

Ustawy o robociznie przymusowej, bezwzględnej z r. 1521, nową tę znaną ere⁸ dla chłopu polskiego zwiastują. Dlaczego jednak p. M. epokę tę zamyka z upadkiem Rzpltej, żadnej nie widzimy przyczyny. Przecież

pia desideria projektu praw Zamojskiego i frazeologiczny przepis konstytucji z r. 1791 w stosunkach włościańskich w Polsce żadnej nie spowodowały zmiany. Epoka więc trzecia trwała od początku XVIgo wieku aż do patentów i ukazów znoszących poddaństwo i pańszczyznę.

Dłużej może niż na to szczupłość miejsca w „Przeglądzie krytycznym“ pozwala staraliśmy się pogląd nasz rozwinąć i uzasadnić; bez tego jednak sąd nasz o dziele p. M. mógłby wydać się pobieżnym lub stronniczym. Powiemy przytem, że podział p. M. na epoki tak jest w dziele jego niewyjaśnionym, że mimo usilnego wczytywania się nie mogliśmy zdać sobie sprawy, jakie sobie autor o stosunkach włościańskich w tych różnych epokach utworzył pojęcie.

Jeszcze gorzej wypadło opracowanie dzieła p. M. w pojedynczych szczegółach. Niepodobna nam ustęp w ustęp, miejsce w miejsce wytykać i uzasadniać, z jak wielu zapatrywaniem szanownego autora godzić się nie możemy. Podamy jednak kilka przykładów rozświecających, w jaki sposób p. M. ze źródeł korzysta i jak je sobie tłumaczy.

Na str. 68 mówi p. M. „Baronem po zachodnio europejsku nazywano rycerza-szlacheica. Pierwszym z takich spolszczonych cudzoziemców baronem był za Kazimierza Sprawiedliwego Wichfyd, ostatnim za Kazimierza Jag. był jakiś Ryther Żegota zwany.“ Dowodem nato według p. M. zapiska w Helelu z r. 1471 Nr. 4039 „nobilis Żegota Ryther de Pisary baro alias rycerz.“ Tymczasem powszechnie wiadomo, że wyrazem „barones“ oznaczano u nas od XIII aż do XVI wieku tych dostojników, którzy do rady książęcej należeli. „De consensu baronum nostrorum“ czytamy w każdym niemal ważniejszym przywileju z XIII i XIV wieku, a w statutach wydawanych w XV wieku i przez cały czas panowania Zygmunta I zamieszczano zwyczajnie we wstępie „praelati, barones, proceres et nobiles.“ Znaczył przeto ów wyraz poprostu szlachtę zamożniejszą wpływową, zwaną po polsku „rycerstwem“ (Ob. Świętosława z Wojcieszyna), dla odróżnienia od reszty szlachty (milites), lecz niemającą żadnego związku z baronstwem zachodnio europejskiem. Takim też rycerzem był i ów Żegota z Pisar, lecz nie ostatnim, bo ich było i przedtem i potem bardzo wielu, a w XVI wieku ze zmianą języka urzędowego w statutach tylko wyraz łaciński „baro“ ustąpił miejsca polskiemu mianu „rycerza.“ (Cod. dipl. eccl. s. Vencesl. str. 17, 18, 20, 26, 57, 76, 106, 127. etc. Helel I str. 45, 102. etc. Obacz także Vol. Leg. Co się zaś tyczy Wichfyda, to ów przywilej Kazimierza Sprawiedliwego okazuje się już na pierwszy rzut oka podrobionym).

Na str. 96 mówi p. M. „Sołtys, wójci a nawet i kmiecie szukając szczęścia w orężu, czynili wielką przysługę krajowi, za co pierwsi i drudzy już sołtystwami i wójtostwami, już urzędami niższymi, już datkami pieniężnymi od króla i panów chorągiewnych obdarowywani, bogacąc się, koligali ze szlachtą. Żeniąc się z szlacheckimi córkami swoje nawzajem wydawali za mężów szlacheckiego rodu.“ Na dowód tego przytacza autor zapiski u Helela, z których się okazuje, że np. Mikołaj burgrabia Pilecki był zarazem sołtysem w Włosieńcu, Jasiek z Domasławic sołtysem w Szyszczynie, a Jordan wójt Myślenicki miał za żonę córkę Mikołaja z Brzezia marszałka koronnego. Tymczasem rzecz się ma odwrotnie. Nie wójci i sołtysi dostępowali córek

szlacheckich i dostojeństw, jeno szlachta rodowita nabywała sołtystwa. Pierwiastkowo, kiedy potrzeba było założyć wieś na prawie niemieckiem i sprowadzić osadników, podejmowali się tej pracy zwyczajnie przybysze obcokrajowi, mieszczenie i kmiecie, mający stosunki potrzebne do sprowadzenia kolonistów tudzież znajomość zwyczajów, jakimi się ci koloniści w ojczyźnie swej rządzili, i tacy sołtysami bywali. Gdy jednak wsie na niemieckiem prawie osadzone nawet pod względem ekonomicznym wyższymi od wsi polskich się okazały, a to dla swego systematycznie urządzonego gospodarstwa rolnego, poczęto zwolna przenosić dawno już istniejące wsie polskie na prawo niemieckie. Takiej wsi sołtys nie potrzebował nawet znać obcych zwyczajów, bo miał pod sobą ludność krajową, swojskiem się prawem rządzącą. Ze zaś uposażenie sołtysa, było nader intratnem, bo prócz kilku łanów wolnych zupełnie od prestacji i danin, należał doń trzeci grosz ze spraw osądzonych, tudzież prawo zakładania młynów, sadzawek rybnych, kramów, jatek i t.d., więc szlachta a nawet rycerstwo i księża poczęli nabywać sołtystwa. Tak np. w r. 1325 Comes Jakub z Krzczonowa nabywa sołtystwo w Bogucicach od Comesa Tomasza Ciołka, w r. 1346. Hinczka ze Słowikowa kanonik Wiślicki nabywa sołtystwo w Zapniowie, w r. 1282. Hardmut kapelan bocheński sołtystwo w Brzeźnicy itd. (Obacz Cod. dipl. ecc. s. Venceslai str. 170, 230, Rzyszcz. i Mucz. III, 126 etc.) Ów też Jordan pono nie na wójtostwie myślenickiem dobił się szlachectwa i córki marszałka koronnego, jeno będąc panem na Zakliczynie otrzymał od króla wójtostwo myślenickie prawem dziedzicznem.

Co zaś było zwyczajem od dawna praktykowanym, temu ustawy z lat 1423, 1510, 1511 i t.d., prawną nadały sankcję.

Jeszcze jeden przykład. Na sejmie z r. 1562 za czasów reformacyjnych biskup Padniewski, kiedy mu zarzucano zaniedbanie akademii krakowskiej, powiedział: „Chciałem przyjać mych, braci i innych dziatek do Krakowa pobrać, nakładem swym dać uczyć a cóż kiedy żaden nie chce, aby tam katechizmu uczono, a ja takowych chować nie mogę, jeno aby się tak uczyli, jako starodawno było...“ Powołując się na te słowa dyaryusza pisze p. M. na str. 139: „Ale kiedy się następnie (uniwersytet krak.) zaniedbał tak dalece, iż na wydziale teologicznym umiał zaledwie katechizmu nauczyć...“ (!) W obec takiego pojmowania źródeł wszelka polemika ustaje.

Jedyną więc rzeczą, która autora „Historji włościan“ w jego zupełnie chybionem przedsięwzięciu poniekąd usprawiedliwia, jest ogrom przedmiotu i brak wszelkich prac przygotowawczych.

Fr. P. & M. B.

Dr. Władysław Wisłocki: Kodex pilźneński ortyłów magdeburgskich. Odbitka z IIgo tomu Rozpraw wyd. hist. fil. Akad. umiej. w Krakowie 1874. 8vo. Str. 81.

62] Dla dwóch przyczyn pragnęlibyśmy podnieść znaczenie niniejszej rozprawy. Przedewszystkiem dlatego, że przedmiot jej wzięty jest z historyi prawa niemieckiego w Polsce, której najważniejsze źródła dotychczas pozostają w ukryciu. Jeżeli zaś można się spierać, czy znajomość innych praw słowiańskich jest do zrozumienia prawa polskiego konieczną, to przeciwnie

każdy zgodzi się na to, że bez znajomości prawa niemieckiego i historii jego rozwielmożnienia się w Polsce, niepodobna jest stworzyć sobie obrazu stosunków prawnych w dawnej Rzpltej. Otóż kodex pilźnieński przez p. W. opisany zawiera w sobie zbiór wyroków i wyjaśnień prawnych przesyłanych z Magdeburga do Krakowa w drugiej połowie XIVgo stulecia, zbiór uskuteczniiony w Krakowie około r. 1400, który nieco później w Prusiech przerobionym został w księgę systematyczną, która jako t. z. Magdeburger Fragen razem ze zwierciadłem saskim w całych Niemczech północnych i w Polsce wielkiej używała wziętości. Dla historii zaś samego Krakowa zbiór ten w swojej pierwotnej nieskróconej i niezmienionej postaci osobliwą posiada doniosłość. Kodex zaś pilźnieński z pierwszych lat XVgo wieku w takiej nam go właśnie pierwotnej postaci podaje, w której dotychczas tylko z kodexu krakowskiego był znanym. Dla tego też opis nieznanego kodexu pilźnieńskiego wielce jest pożądanym nabytkiem.

Opis ten kodexu prawnego tem więcej zaś autorowi za zasługę musimy poczytać, że p. W. jako bibliograf, niezbyt w takich razach ruchliwych prawników wyręczyć się starał. Że też opis jego jest ściśle bibliograficznym i w rozbiór kwestyj prawnych na podstawie kodexu poruszyć się dających się niezapuszcza, z tego autorowi niemożemy uczynić zarzutu. Dokładności i pracowitości w drobnych nawet szczegółach odmówić mu niepodobna. Wdzięczni też jesteśmy autorowi, że nam z kodexu Pilźnieńskiego podał kilkanaście ortyłów. Żałujemy tylko, że przy wyborze ortyłów trzymał się przypadkowych okoliczności, i te tylko podał ortyły, w których o Polsce i o Krakowie znalazł jakąś wyraźną wzmiankę, kiedy w rzeczy samej wszystkie ortyły z małemi wyjątkami się do Krakowa odnoszą. Wolelibyśmy więc, żeby autor zamiast rzeczzone, w nieco skróconej formie zkądinnad już znane, ortyły podawać w całości, był porównał kodex pilźnieński dokładniej ze wspomnianemi już a drukowanemi Magdeburger Fragen i żeby nam był te wszystkie z kodexu Pilźnieńskiego wypisał ustępy (drobnych wariantów tekstu już nieżądamy), które w Magd. Fragen znachodzą się zupełnie zmienione lub opuszczone.

M. B.

Rolnictwo.

Ludwik Górski: Nasze błędy w gospodarstwie foliwarem. Warszawa, druk J. Ungra. 1874. str. 93. 8vo.

63] Dwie są drogi, któremi zwykle postępują gospodarze wiejscy. Jedna jest drogą fatalistycznego poddania się naturalnemu biegowi rzeczy, a druga jest wpływem woli i wiedzy. Ta ostatnia bezwątpienia do najwyższych prowadzi celów bo jest drogą samowiednych czynów.

Nasze rolnictwo, oprócz niewielu wyjątków, nie potrafiło jeszcze wstąpić na tę świętą drogę, lecz obraca się niestety w błędnym kółku odwiecznych zabobonów i przestarzałej rutyny. Większość ziemian naszych popełnia dziś te same błędy, któremi grzeszyli ich przodkowie. Ale gdy tamci kierowali się w ciemności samym prawie instynktem i na przypuszczeniach tylko opierali nadzieję skutków; tym już przyświeca w pochodzie nauka i wiekowe doświadczenie, do którego nieraz z korzyścią odwołać się mogą. Tamtym więc dużo wybaczyć trzeba a tym nie wiele można.

Każdy zaś, kto błądzących na drogę prawdy nawołuje, kto zwłaszcza z powagą i miłością wzywa do poprawy, zasługuje się dobrze krajowi i cześć mu oddać należy. Taki głos serdeczny podniósł w sprawie błędnego gospodarstwa naszego wielce szanowany obywatel p. L. Górski. Wydał on nie obszernie ale ważne treścią dziełko, w którym z niezwykłą szczerością wykrywa najgłówniejsze wady naszego rolnictwa i z gruntowną znajomością rzeczy podaje sposoby ich uniknięcia. Jest to rachunek sumienia z taką pokorą spisany i taką miłością techną, że na najgorętsze polecenie czytającym ziemianom zasługuje. Autor nie zapuszcza się w długie wywody, ale stylem jasnym i jędrnym wypowiada krótko, czem grzeszymy i jak złego uniknąć można.

Podzielił on ten smutny, bo bardzo liczny szereg przewinień gospodarskich na 3 działy tj. „Błędy rolnicze, błędy ekonomiczne i błędy zarządu.“

W pierwszym dziale zestawia z wielką znajomością swego zawodu, błędy popełniane w uprawie roli i hodowli zwierząt domowych. W drugim ostrzega przeczornie przed bezmyślnem marnowaniem kapitałów, szafowanych nieopatrzną ręką bez żadnego planu i rachunku. Ubolewa również nad tymi, którzy najpotrzebniejszego wkładu w gospodarstwo uczynić niechęć i tym sposobem przyczyniają się sami do jego upadku. Z wielką siłą nareszcie gromi lekkomyślnych, którzy z małym funduszem rzucają się na kupno większych majątków ziemskich w nadziei „wyrobienia się z interesów.“

W pierwszych dwóch działach widzieliśmy w autorze znakomitego agronoma i przezornego ekonomistę; w trzecim zaś poznajemy w nim energicznego, a pełnego powagi i uczucia przełożonego. Oto ustęp, który go charakteryzuje i o tendencji dzieła najlepiej świadczy. „Materjalny porządek gospodarstwa nie ostoi się długo tam, gdzie zasady moralnego porządku nie są szanowane, gdzie nie ma sprawiedliwości i wyrozumiałości w postępowaniu z podwładnymi, gdzie zamiast spokojnej i sumiennej rozważki, panuje samowolna fantazja i dorywczosć. Nauka nawet, praca i zabiegliwość, same zadaniu nie podoleją, jeżeli gospodarz nie umie w podwładnych natchnąć uczucia obowiązku i przychylności ku sobie.“

„Z drugiej strony same przymioty moralne nie są dla dobrego zarządu wystarczające. Potrzeba mieć znajomość rzeczy, potrzeba umieć zorganizować porządek materjalny gospodarstwa i wykonania onego wytrwale i z nieugiętą wolą przestrzegać, aby pomyślny bieg gospodarstwu zapewnić.“

„Sposobiący się do zarządu gospodarstwem pamiętać powinien, że aby dobrze rządzić drugimi, powinien przede wszystkim umieć rządzić sobą. Nie ma tu miejsca dla namiętności, dla porywów myśli i uczuć jednostronnych; z zamętu myśli, z nieporządných uczuć, płynąć nie mogą spokojne i jasne rozporządzenia, siłą swej prawdy posłuszeństwo nakazujące.“

W końcu słusznie ubolewa szanowny autor, że za mało zdolnych ludzi poświęca się specjalnie zawodowi rolniczemu, który dotychczas bywał zwykle emeryturą dla wysłużonych już na innem polu albo przytułkiem młodzieży niezdolnej i niechętniej naukowemu kształceniu się.

Na zakończenie tej krótkiej o tak ważnym dziele

wzmianki pozwolę sobie jeszcze przytoczyć mały ustęp z ostatniej jego kartki:

„Wiele mamy błędów z przeszłości do zmazania, i bardzo wiele w teraźniejszości do zrobienia. Społeczeństwo wiejskie, które nas otacza, jest zacne, uczciwe, pełne wiary i cnót chrześcijańskich; brak mu tylko wykształcenia, brak wiadomości rolniczych. Starajmy się dobrym przykładem i nauką ten niedostatek zapełnić, pomnażać zawsze, że wtedy tylko do jego przekonania trafimy i zaufanie zyskamy, skoro nie tylko w gospodarstwie ale i w wypełnianiu moralnych i religijnych obowiązków także mu wzorem będziemy. Przykłady dobrego zarządu promieniając dokoła, udzielają się wszystkim, którzy w nim biorą udział, i stają się dźwignią prawdziwego społecznego postępu.“

T. L.

Nauki przyrodnicze.

T. Skomorowski: Rozbiór teorii Darwina czyli geneza gatunków ze stanowiska racjonalnej krytyki. Wydawnictwo czasopisma „Przyroda i Przemysł.“ Warszawa 1874. 8vo. Str. 211 z 38 drzeworytami w textcie.

64] Prace mające na celu zapoznawanie publiczności z mozolnie zdobytymi wypadkami nauki, niepoślednie przynoszą korzyści oświecając obszerne kręgi czytelników, którzy z powodów innych zajęć nie mogą czerpać u samego źródła; lecz korzyści takie wtedy dopiero osiągamy, gdy praca odpowiada pewnym koniecznym warunkom. Przystępny wykład powinien być treściwy, jasny, napisany dobrym językiem i z prawdziwą znajomością rzeczy; rozwlekły, ciemny i złym pisanym językiem przez to samo już nie jest przystępnym, a napisany bez znajomości rzeczy wszelką traci wartość; taki wykład słabsze głowy mąci, silniejsze nuży i zniechęca, a każdemu czytelnikowi czas niepotrzebnie zabiera. Uwagi powyższe nastęrczyła nam „geneza gatunków“ p. S. w której autor przedsięwziął skrytykować teorię Darwina o powstawaniu gatunków. Nie jest bynajmniej naszym zamiarem bronić lub napastować Darwina, albo też powstawać przeciwko Panu S. za jego przekonania, tem bardziej, że jak sam powiada, czerpał z różnych autorów, a głównie z prac Mivarta; pragnęlibyśmy tylko wykazać, czy książka Pana S. czyni zadość powyższym warunkom popularnego wykładu.

Znajomość samej rzeczy postawimy na pierwszym miejscu. Poprzestaniemy na wytknięciu najgłówniejszych błędów, które ją najlepiej wykażą. Przedewszystkiem w książce Pana S. dają się spostrzegać liczne wyrażenia, które są oczywiście dowodem niepośledniej nieznanomości samego przedmiotu; tak np. ogon zdalny do lotu (str. 117), kiedy żadne stworzenie nie używa ogona za organ lotu. Jaja nasienne (str. 171), zapewne zamiast nitki lub ciała nasienne (spermatozoa). Scolopendra otrzymała miano stonogi (str. 149), kiedy stonoga oznacza w naszym języku drobnego skorupaka. Niedosłże skrzydło (str. 166); chodzący liść (str. 9), zamiast liście (Phyllium sicifolium); chodzący kij (str. 23), co ma oznaczać rodzinę fasmidów; łóżykowy sposób rozmnażania (str. 85), i inne.

Dalej, w książce Pana S. spotykamy się z grubymi omyłkami. Jaszczurki zalicza do ziemnowodnych mówiąc: „Ziemnowodne (tj. żaby, ropuchy i jaszczurki)“ (str. 108, 129), chociaż zresztą autor nie łączy gadów z ziemnowodnymi. Ryby karpowate, które w fau-

nie europejskiej mają stanowczą przewagę, nie zostały zaliczone do liczby mieszkańców naszej części świata; wymienając bowiem miejsca zamieszkania tych ryb, autor wcale Europy nie wspomina (str. 142). Łusko-
wice, który mieszka na starym lądzie (w Afryce, Indiach, na Jawie, Sumatrze i Borneo), został przeniesiony do nowego świata... „Łuskowce nowego świata, czyli tak zwane pangoliny (manis)“ (str. 163). Psoriasis autor tłumaczy świerzba, kiedy nawet profanom sztuki lekarskiej wiadomo, że świerzbę oznaczają nazwą scabies, boć ztąd świerzbowca nazwano Sarcoptes scabiei; prawdziwie śmiesznem jest przytaczanie ustępu Paget'a o symetrycznem pojawianiu się na ciele różnych wysypek, bo jakże nawet przypuścić, że pasorzyty posiadają tyle poczucia porządku, iżby się symetrycznie sadzić miały na ciele udreżonego przez nie zwierzęcia. Pierwszy lepszy świerzbowaty pies lub koń powinien był przekonać autora, że pasorzyty nie znajdują się na symetrii i porządku. „...w Australii znaleziono szczątki kopalne istot żyjących, ściśle spokrewnionych z kangurami i innymi gatunkami zwierząt workowatych, które obecnie istnieją tylko w tej części świata“ (str. 7). Widocznie autor zapomniał czy nie wiedział o dydelfach Ameryki południowej, wątpimy bowiem, aby i tę część świata zaliczał do Australii, chociaż zresztą Ziemię ognistą nazywa albo Ziemią ognistą, albo Fuegią, niespostrzegając że to jedno i to samo. „Rośliny mimetyczne napotykają się prawie bez wyjątku w bardzo odległych krajach, nie raz w oddzielnych częściach świata“ (str. 29.) Tymczasem jednym z koniecznych warunków naśladownictwa, czyli jak się autor wyraża, mimetyzmu, jest wspólność miejsca pobytu gatunku naśladowanego i naśladowującego. Mówiąc o wielorybach właściwych i o syrenach autor powiada. „Jedne (syreny) karmią się roślinami, podczas gdy drugie (wieloryby właściwe) należą do mięsożornych; różnią się również między sobą układem żeber; jedne mają dwa gruczoły piersiowe i nozdrza rozszerzone, gdy tymczasem drugie opatrzone są w brodawki piersiowe i nie mają nozdrzy (str. 33).“ Wyrażenie, „gruczoły piersiowe“ jest zupełnie niewłaściwe, bo chodzi tu o położenie gruczołów mlecznych w szczególności, a dalej, co znaczą nozdrza rozszerzone? Brodawki piersiowe wielkim są błędem, bo wieloryby właściwe na piersiach brodawek nie mają, a gruczoły mleczne mają umieszczone przy pachwinach, tj. w tylnym końcu brzucha. Autor widocznie nie ma pojęcia co to jest brodawka a co gruczoł wydzielający mleko, powiada bowiem w innym znowu miejscu „brodawki wydzielające pokarm“ str. 41, a jednakże dziobak i kolezatka wydzielają pokarm chociaż brodawek nie mają. Wreszcie, autor odmawiając nozdrzy wielorybom właściwym składa niezbity dowód zupełnej nieznanomości pierwszych zasad anatomii; czemużby wieloryby oddychały, gdyby nozdrzy nie miały? Autor mówi o segmentacji i ossyfikacji rdzenia kręgowego (str. 130), o kręgach rdzenia kręgowego (str. 148, 149, 151, 159), a dalej znnowu o słupie kręgowym (str. 160), oczywiście więc nie ma świadomości o różnicy pomiędzy częścią ośrodków nerwowych tj. rdzeniem pacierzowym, i częścią szkieletu wewnętrznego, tj. kręgosłupem. W skrzydłach ptaków „znajdujemy w samej rzeczy ramię, którego kości zanikły i zredukowane zostały w liczbie“ (str.

105). Otóż ramię (humerus) zawsze składa się z jednej tylko kości, a gdyby zanikło, tedy przednie kończyny straciłyby swe połączenie z barkiem, czego o żadnym ptaku powiedzieć nie można; widocznie chodzi tu o napęstek, dłoń i palce, które zresztą w ptaku nie zanikają, chociaż składają się ze stosunkowo nielicznych kości. Ustępy o mszankach (str. 85), o oku (str. 42), o uchu (str. 77.), o budowie jeżowca (str. 34), o budowie scolopendry (str. 149), i wiele innych, uwydatniają błędność pojęć autora.

Jasność wykładu jest, jakśmy to wyżej powiedzieli, drugim koniecznym warunkiem popularnych książek naukowych. Czytelników przede wszystkim należy przygotować do zrozumienia rzeczy, wyjaśniając rozmaite ogólne pojęcia, o których mowa, oraz wyrażenia techniczne, niedające się pominąć. Pan S. zupełnie tego zaniedbał. W całej książce ciągle mówi o gatunku, ale ani jednym słowem nie objaśnia, co to jest gatunek. Praca jego ma być krytyką teorii Darwina, ale teorii autor nie daje poznać czytelnikom, powiada tylko: „Zasady teorii Darwina wielokrotnie podawane były w straszczaniu w pismach warszawskich; dla tego uważamy za zbyt częste przypominać je czytelnikowi na tem miejscu, o ile że w ciągu pracy niniejszej będziemy musieli o nich mówić. Ale autorowie jednych z tych artykułów podawali po większej części to tylko, co przemawiało na jej korzyść, pomijając, — z umysłu, czy też przypadkowo, — wszelkie fakta, które znajdują się z nią w sprzeczności; gdy tymczasem inni, protestując kategorycznie przeciwko wnioskowi z niej wyprowadzanemu, nie starali się zstąpić do jej podstaw, aby tam odkryć słabe punkta jej budowy. Słuszną tedy jest rzeczą, przy wyliczaniu jej zalet, nie zapominać o zasadzie „audiat et altera pars“ (str. 7). Tak tedy autor nie wyklada zasad teorii, bo już inni zasady te fałszywie wyłożyli. Dalej Pan S. nie wyjaśnia co znaczy: zmiana pokoleń, polimorfizm, autochtony (lepiej gatunki miejscowe), parthenogenesis, cephalopoda, acanthametry, polycistyny, orthoceratidae, i tp. Pan S. bywa też sam z sobą w sprzeczności. Tak na str. 7—9 oddaje on sprawiedliwość teorii Darwina, że może się na coś zdać, że wyjaśnia organy szczątkowe (czyli jak je autor nazywa „zawiaszkową budowę organów“), dalej że teoria tłumaczy naśladownictwo (tj. mimetyzm autora), to znowu, że wybór naturalny tłumaczy pewne fakta (str. 207); z drugiej znowu strony autor oświadcza: że teoria nie wyjaśnia zachowania się i rozwoju organów szczątkowych (str. 14); wcale naśladownictwa wytłumaczyć nie może (str. 24), że do niego nie doprowadza (str. 209); a na str. 113 autor powiada: „jeżeli tedy, rezultaty przez nas otrzymane porównamy z powyższymi wyrzeczeniami Darwina, to przyjdziemy do niewątpliwego wniosku, że zasada, na której Darwin oparł swoją teorię jest fałszywa. Dowiódłszy tej prawdy, nie potrzebowalibyśmy nawet iść dalej i moglibyśmy na tem poprzestać.“ Szkoda że autor na tem nie poprzestał, uniknąłby popełnienia wielu bardzo błędów, a czytelnikom oszczędziłby próżnego czytania.

Niepodobna nam przytaczać ustępów z książki p. S. któreby wady jego stylu uwydatniły, nie możemy się jednak powstrzymać od dosłownego powtórzenia kilku wierszy. „Wszakże sądzimy, że wiele jeszcze upłynie czasu nim coś bardziej stanowczego można będzie powiedzieć o pochodzeniu gatunków, i dziś kwestyę tę na-

uka zapisać musi na „debet“ pokoleń przyszłych. W samej rzeczy, w każdej nowej teorii naukowej, która nie wszystkie nawet, ale niektóre tylko ciemne punkta danej nauki objaśnia lepiej od poprzedzającej, tkwi w zarodzie wyrok śmierci na tę ostatnią. I nie może być inaczej.“ str. 210. Wprowadzanie do języka naukowego wyrażeń zaczerpniętych z ksiąg bankierskich, jak zapisywanie na debet, jest pomysłem zupełnie nowym, ale na nieszczęście bardzo smutnym.

Ogromna ilość cudzoziemskich wyrażeń do reszty zesześciła niezbyt powabny styl Pana S., jako to: korelacja i prawa korelacyjne, zamiast zależności (a nie wzajemność jak Pan S. powiada), i prawa zależności; protegujące podobieństwa, zamiast podobieństwo ochronne albo ochraniające; exystencya, zamiast byt; realny, zamiast rzeczywisty; pozycya, zamiast położenie; inwolucya, zamiast wpuklenie; delektować się, zamiast lubować się, napawać się; metamorfoza, zamiast przeobrażenie; lokalny, zamiast miejscowy; segmentacja, zamiast rozczłonkowanie; ossyfikacja, zamiast skostnienie; transformacya, zamiast przeobrażenie, przekształcenie; rewersya, zamiast powrót; reprodukować się, zamiast rozmnażać się; notochordalna budowa, zamiast struna grzbietowa; kontynent, zamiast ląd; wertykalny, zamiast pionowy; cephalo-thorax, zamiast głowo-tułów; agamiczny, zamiast bezpłciowy; scyssia, zamiast podział, i td., i td.

Co mają znaczyć makaronizmy, któremi Pan S. upstrzył swoje książkę, zaprawdę trudno odgadnąć, dosyć na tem, że często spotykamy się u niego z wyrażeniami: audiat et altera pars, a fortiori, entia rationis, in statu nascenti, in statu dormienti, odium theologicum, tertium non datur; albo znowu: embarras de richesse, raison d'être; czyli też: struggle for existence, natural selection, survival of the fittest, what next i td. Nareszcie ów nieszczęsny „debet“ pokoleń przyszłych.

Niełatwo pojąć co mogło autora spowodować do publicznego wystąpienia z tak słabą pracą, ale jeszcze trudniej zrozumieć, jak rozpowszechnienia tak słabego utworu mogła się podjąć redakcyja pisma w jakim bądź stopniu poważnego.

A. O. W.

A. Sempołowski: Beiträge zur Kenntniss des Baues der Samenschale. Inaugural-Dissertation. Leipzig. 1874. 8vo. Str. 57 z III tab.

65] Rozprawa p. S. jest to przyczynek do rozpoznawania nasion, a zatem rzecz zarówno rolnicza, jak botaniczna. P. S. zadał sobie pytanie, czy nie można by według budowy łupiny nasiennej, dokładnie oznaczyć rodzaju i gatunku rośliny, do której nasienie należy, i zbadał w tym celu budowę rzeczzonej łupiny w 37 roślinach należących do rodzin: Lnowatych (len), Motylkowatych (łubin, groch, bób, konieczyna, esparceta i tp.) i Krzyżowych (rzepak, gorczyca, kapusta i tp.).

Badania p. S. wykazały, iż według budowy łupiny prawie zawsze oznaczyć można rodzaj rośliny, a często bardzo jej gatunek. Nie wchodząc w bliższe szczegóły rozprawy, zaznaczyć musimy, iż podług p. S. warstwa grubościennych komórek, nadająca pewną tęgosc łupinie, jest zawsze zewnętrzną w Motylkowatych, u Krzyżowych zaś drugą, trzecią lub czwartą nawet od zewnątrz.

P. S. badaniami swojemi nacechowanemi wielką ścisłością, sprostował i dopełnił to, co w tym przedmiocie pisali rolnicy, przede wszystkim zaś ogólne dzie-

to Nobbego: Handbuch der Samenkunde (1873.). Mimo swojej użyteczności i swoich zalet, praca p. S. dla botanika nie wiele ma interesu, tem bardziej, iż autor nie rozwiązał niektórych kwestyj histologicznych, np. przyczyny światłej kresy w przyskórku łupiny Motylkowatych. Gdyby zaś autor badania swoje chciał rozszerzyć na znaczniejszą liczbę rodzin, wtenczas praca jego byłaby ciekawą i dla botaników, jako przyczynek do porównawczej anatomii roślin; lecz praca podobna wymagałaby lat kilku mozolnych studyów.

E. J.

Nauki lekarskie.

Dr. Wolfring (w Warszawie): *Beitrag zur Lehre von den contagiösen Augenentzündungen* (Ausserord. Beilageheft zu den klin. Monatsblättern f. Augenheilkunde) XII, str. 44. Erlangen, 1874.

66] W ostatnich trzydziestu latach nauka o chorobach ocznych zrobiła postęp tak olbrzymi, jakim żadna inna gałąź medycyny poszczycić się nie może. Wiele bowiem chorób głębi oka aż do roku 1851 było zupełnie nieznanymi; dopiero genialny Helmholtz wynalezionym przez siebie wziernikiem rozwił nieznana tę dziedzinę oftalmologii. I dlatego nie dziw, że okulista przy pomocy takiego środka badawczego szczyścić się może pewnością rozpoznawczą. Lecz jak każdy inny dział medycyny posługuje się do wytłumaczenia istoty każdej choroby głównie badaniem zmian w tkankach chorobowo zmienionych, tak też okulistyka musiała oczekiwać od drobnowida licznych wyjaśnień. Takie nawet choroby, jak nieżyt nagminny, błonica i śluzopłotek spojówek, jakkolwiek najprzystępniejsze dla badania drobnowidowego co do swej istotnej różnicy dotąd nie były zbadane. Wypełnić tę lukę w patologii ocznej starał się Dr. Wolfring okulista warszawski przez pracę, z której zdajemy sprawę.

Dr. W. zwrócił swoją uwagę szczególnie na gruczołki Krausego i na podobne do tychże gruczołki chrząstki powiekowej, jako też na stosunek obydwóch do sieci naczyń zaopatrujących cały narząd wzrokowy. Część mniejsza gruczołków Krausego leży pomiędzy spojówką a więzadłem mięśnia podnoszącego powiekę, większa zaś na zewnętrznej i wyłącznie skroniowej stronie a sięga wyżej od pierwszych za brzeg oczodołowy chrząstki; przewody ich przebiegają miejscami ściągno mięśnia podnoszącego powiekę dochodząc do wolnej powierzchni spojówki. Górna część chrząstki powiekowej, osobliwie strona jej wewnętrzna, nie posiada gruczołków Meiboma, a miejsce tychże zajmują gruczołki gronowe, podobne tylko do Krausowych, mające przewód na granicy brzegu oczodołowego chrząstki, który nie sięga do załamka spojówki. U osób starszych w miejscu tych gruczołów znajdujemy po największej części wysepkami rozrzucony tłuszcz opisany dokładniej przez Molla (Arch. f. Ophthalm. Bd. III. Abth. 2, str. 266). Mniej jednostajnie i licznie napotykamy te gruczołki w powiece dolnej. Odkrycie tychże należy się autorowi, który je dokładnie zbadał i opisał jeszcze w 1872 r. (Gazeta lekarska). Mają one łącznie z gruczołkami Krausego, jako rozsiane w załamku spojówki, najprawdopodobniej za zadanie zwilżać spojówkę. Autor przekonał się na własnych okazach, że nie, jak Leber utrzymuje, niekiedy ale zawsze naczynia spojówkowe, pochodzące z naczyń powiekowych, nie tylko łą-

czą się ze siecią naczyń twardówkowych, ale jeszcze przed dojściem do brzegu rogówki przebijają twardówkę, a tem samem nie da się ściśle odróżnić podwójna sieć naczyń na przodkowym odcinku twardówki jako powierzchowna i głębsza. Układ naczyń gruczołków Krausego stanowi punkt łączący głębsze naczynia powiekowe z siecią naczyniową około rogówki. Łączność ta naczyń tłumaczy, jak wzajemnie przewłoczne cierpienia rogówki prowadzą do zadrażnienia głębszych części oka i fałdu spojówki i na odwrót zajęcie spojówki oddziaływa na rogówkę i na twardówkę. Zapalenia załamku spojówki widzimy we wszystkich zapaleniach zakaźnych, tak w nieżyście nagminnym, jak w ostrem bujaniu brodawek, jak wreszcie w błonicy i śluzoropotoku. We wszystkich tych cierpieniach znalazł autor gruczołki Krausego i chrząstki podobne do tychże już to w okresie przerostu już też rozpoczynającego się stłuszczenia, a zajęcie ich uważa za pierwotne, przeciwnie obrzmienie sąsiednich tkanin za następne. Nagminne wystąpienie nieżyty spojówek stawia na równi z pojawieniem się nagminnego zapalenia gruczołków przyusznych (ślinianek) mających taką samą budowę. Śledząc za zarazkiem w wymienionych cierpieniach spojówki badał autor oddzielnie śluz i łyzy spływające z oczu tą chorobą dotkniętych. Zbierał płyn sączący się ze spojówek zajętych po nacieraniu tychże maścią rtęciową i próbował zakrapiać go w oczy zwierząt i ludzi. Płyn ten nie wznicał zapalenia błonowego. Ponieważ można go uważać za wolny od łoż i wydzieliny gruczołków Krausego, przeto autor przypisuje siedzibę zarazy tymże gruczołkom. Wszystkie choroby zakaźne oczu pochodzą przeto według autora z jednego źródła, a wspólność ta wypływa z tożsamości zmian anatomicznych gruczołków Krausego. Tłumaczy to także i tym faktem, że pierwiastek pochodzący z jednej postaci choroby spojówkowej może wywołać każdą inną postać w istocie różną pod względem klinicznym.

W pracy powyższej rzucił autor myśl nową: sprowadził, że tak powiem, cierpienia zakaźne spojówki do wspólnego mianownika, a tem samem nadał im wspólne tło, na którym wśród nieznanymi dotąd czynników odmiennych przedstawiają obraz kliniczny. Lecz mniejsza byłaby zasługa autora, gdyby tylko postawił nową teorię; autor idąc drogą przyrodnika, starał się stwierdzić myśl swoją i doświadczeniem; przez badanie swoje drobnowidowe pierwszy zrobił krok naprzód w tym kierunku patologii ocznej.

J. B.

Dr. Osowiecki w Poznaniu. Dwa przypadki wycięcia jajnika (z własnego doświadczenia). Rzecz czytana na walnem zebraniu Sekcji lekarskiej T. P. N. w dniu 24 Czerwca 1874. (Przegląd lekarski 1874. Nr. 32—34.)

67] Wycięcie jajnika jest dotychczas u nas zjawiskiem rzadkiem, (w klinikach krakowskich dopiero 3 razy rękoczyn ten uskutecznił) a to z powodu braku ufności w pomyślny skutek, rozpowszechnionego nie tylko między publicznością, ale po części i pomiędzy lekarzami. A przecież przy obecnie udoskonalonym sposobie operowania, prawdopodobieństwo wyzdrowienia jest wielkie, bo 92 na 100 (Keith). Dla tego z zadowoleniem przyjmujemy każdą wiadomość o nowych przypadkach tej operacji, zwłaszcza pomyślnym skutkiem uwieńczonych.

Dr. O. podawszy krótką historią operacji, staty-

stykę śmiertelności, i krytykę już zaniechanych sposobów leczenia, jak nakłucia torbieli i wstrzykiwania płynów w ich jamy, zdaje sprawę z dwóch przypadków, z których pierwszy operował w Poznaniu Prof. Freund z Wrocławia a leczeniem dalszem zajmował się autor. Torbiele stanowiły jeden duży obrzęk z siecią tylko nieco zrosły; do podwiązki użyto strun owczych (catgut); długi trzon uciśnięto klamrą Spencer Wellsa. Przypadki posocznicy ustąpiły, skoro szóstego dnia wypuszczone zapomocą aspiratora Dieulafoya przez tylne sklepienie pochwy wiele płynu cuchnącego. Ciepłota ciała wahała się przez 11 dni między 38.5°C. a 38.8°, tętno między 108 a 144 na minutę. Jako środka podniecającego używano piżma; bóle kojeno makowcem, morfinem i wcieraniem szaruchy z wyciągiem szalejowym. — Chora w 12 dniu pierwszy raz łożko opuściła.

W drugim przypadku operował autor, a miał przed sobą 55 letnią matkę 8ga dzieci, od pięciu lat cierpiącą torbiel jajnikowy. Zrosły torbiel ze ścianami brzuszniemi odgnieciono po bokach odgniataczem (écraseur). Przeprowadzono sączek przez ranę brzuszną i zatokę Douglasa na zewnątrz, a ranę opatrzone według najnowszej metody Listera (protective silk, antiseptic gaze, mackintosh). Chora 5 dnia już nie gorączkowała; lecz 6 dnia wystąpiły objawy rozległego zapalenia płuc, które następnego dnia śmiercią się zakończyło. Sekcja potwierdziła przyczynę śmierci rozpoznaną. Autor zastanawia się nad sposobami obchodzenia się z trzonem, zalecając słusznie podwiązanie grubym catgutem, jako też nad osączaniem (drainage) i wstrzykiwaniem do jamy brzusznej oczyszczających ją płynów. Postępowanie to zalecone przez Mariona Simsa oddało autorowi znakomite usługi; wnosi tylko, aby terażniejsze sprężnikowe sączki łatwo się zlepiające zastąpić sączkiem z kitajki jedwabnej, powleczonym karbolizowanym woskiem.

Rzecz cała jest zwięzła i dokładnie przedstawiona, a opis przebiegu po rękoczynach świadczy, iż opieka lekarska była ciągłą i odpowiednią. L. W.

Historia literatury.

Teofil Lenartowicz: Listy o Adamie Mickiewiczu.
Paryż. Księgar. Luxenbur. 1875. 8vo. Str. 72.

68] Lenartowicz — i o Mickiewiczu! Czy potrzeba dla książki lepszej rekomendacyi? Dodajmy do tego ciekawość, jak lirnik mazowiecki pisze prozą, a dziwić się nie będziemy, że ta książka z rąk do rąk przebiega. Bo też dziwny urok i miła prostota w tych listach pisanych do syna Adama, w których zamknął autor bardzo wiele zajmujących, a plastycznością odznaczających się rysów z ostatnich lat życia Mickiewicza, i z życia całego szeregu innych osób. Co nas zaraz z początku ujmie, to ta rzadka już dziś prostota, nieśmiałość, pokora, z jaką polecony przez Norwida po raz pierwszy wybierał (str. 10, 11, 20, 56) i później zbliżał się do tego „wielkiego człowieka, który był zarazem takim prostaczkiem i taką dziecinną pogodę serca do końca życia zachował“ (str. 69), to uwielbienie prawie religijne dla tego „arcydzieła stworzenia“ (str. 39), dla tego największego obok Byrona poety XIX wieku, a największego poety polskiego (str. 70). Raz nazywa go L. nawet jedynym poetą polskim (str. 69). Słowa te potrzebują komentarza, a zdanie następne,

że M. był „jedynym człowiekiem czynu“ jest dla nas niezrozumiałe — chyba gdybyśmy zmieniając je cokolwiek napisali: poeta co czyn wyżej cenił niż pieśń; a i w takim razie nie jedyny. (por. str. 26). Niestuszenie sądzi L., że wielu u nas przyznaje pierwszeństwo Krasińskiemu i Słowackiemu (str. 45). Był wprawdzie czas wielkiego zapału dla Słowackiego, zapału który już ostygł, ale zdaniem naszym nigdy całkiem zgasnąć nie powinien, i znaleźli się tacy, którym Słowacki i Krasiński chwilowo więcej dogadzali, niż klasyczny Adam; nikt wszakże głośno wypowiedzieć tego nie śmiał — i dziś niema już w Polsce wątpliwości w tej mierze. Zgadzaemy się z autorem w zdaniu, że Zygmunt i Juliusz przypominają zawsze kogoś — Adam zaś przypomina się tylko w doli ludu swojego; ale nie dziwilibyśmy się, gdyby ktoś powiedział, że Dziady przypominają mu Werthera i Fausta, a Pan Tadeusz Hermana i Dorotheę. Piękne i poetyczne są słowa o Polu, Zaleskim i Goszczyńskim, ale porównanie tego ostatniego z Beethovenem czy trafne? Z oburzeniem i zapałem odpiera L. w kilku miejscach wszystkie zarzuty (np. pychy, niewiary), któremi kiedykolwiek znieważać Adama ośmieliło się warcholstwo, lekkomyślność i głupstwo — (np. str. 9, 22, 48, 55, 70) i w gorących słowach broni pamięci żony jego Celiny, która zdaniem autora „miała wielkie serce, anielską cierpliwość“ (str. 58) i którą Adam szczerze kochał i szanował. Gdy była chora, chodził jak z krzyża zdjęty (str. 55), a śmierć jej głęboko go dotknęła (str. 62). Naszym zdaniem, choć dysputy w tej mierze za późne, a choćby nie za późne, na nie się nie zdadza, i chociaż „najemne płaczki istotnie niepotrzebnie i niesłusznie użalają się nad nimi“ — to zawsze był dla Adama „wiek męski wiekiem kłeski,“ bo straszna rzecz pomyśleć, że takiego człowieka takie zjadały troski.

Dla biografa nie przybywa w tej książce wiele szczegółów — natomiast znajdzie w niej badacz zajmujące rysy do charakterystyki Adama w ostatnim smutnym okresie życia. „Wielki człowiek jest nim w każdej chwili życia (str. 57).“ Takim się przedstawił Adam Lenartowiczowi, takim przedstawi się każdemu z nas, pomimo że skutkiem tylu zawiedzionych nadziei całego życia, wielkie to serce tak sosenpniało a olbrzymi ten umysł takiemu uległ rozstrojeniu. „Przyjdzie czas, w którym szczęśliwy będzie tylko ten, co będzie w grobie“ powiedział raz Mickiewicz (str. 36); a potem w największym rozdrażnieniu dodał słowa, które każdego głębokim żalem napełnią, bo były jakby w obłąkaniu powiedziane: Znam takiego co 14 księży zabije itd. (str. 36). Pomimo to, cokolwiek powiedziano oryginalnego, narodowego, chrześcijańskiego, wyszło ze zbliżenia się z Adamem (str. 23). Choć mało kto rozumiał go, towarzystwo otaczało go nieustannie (5). Najczęściej siedział zaspiony i jakby na pół w marzeniu puszczał kłęby dymu (6). Jeśli mówił, to stylem ksiąg pielgrzymstwa, przypowieści, nie nastrajając się do tej formy, a co mówił, wciskało się w mózg jak druk (52) i ze słów jego księgi można było spisać (55). Jego powieści o szlachcie, o zwyczajach krajowych były dobruśne i patryarchalne (6). Najwięcej miał upodobania w słuchaniu Henryka Służalskiego „który tak opowiadał, jak gdyby był obecnym w chwili, kiedy Pan Bóg świat tworzył.“ Gdy kto plótł nie-dorzeczności, Adam siedział, ale miał wyraz arabskiego rumaka, kiedy zły uszy po sobie położy i radby

wyrwać się (17) W obec arogancji niektórych młodzików, co jak do chłopca od kołby przemawiali do niego: „Ty, Adamie!” i t.p., okazywał pokorę i najszlachetniejszą łagodność (56). Przy chorym Dziekońskim dał znowu dowód największego współczucia i najdelikatniejszych uczuć (67). Sztukę podziwiał, ale lekceważył. „Piękna to rzecz — mówił patrząc na drzwi Baptistarium we Florencji — ale Kościuszko robił piękniejszą” (26). Sztucznych grot i t.p. nie lubił. „Natura jest wielką, ale kiedy ją człowiek chce niewolniczo naśladować, robi karykaturę” (43). Nowszych naszych autorów znał i sądził ich surowo (11). Do Niemców wielką miał niechęć (18 i 26) a próżniactwo w kraju bardzo go bolało. „Prusak za łeb was złapie i z Polski wyrzuci, bo nie seryo nie robicie. Tylko chłop u nas pracuje, a i ten w porównaniu z ouvrierem jeszcze szlachcieć” (13). O poezji i poetach wyrzekł zdanie, które warto wziąć sobie do serca: „Każdy niech będzie sobą i orzeł niech nie nastraja się na słowa a słowik na orła.” Ostatnie słowa Adama były: „Kochajcie się dzieci moje.” (48 i 71).

Prawdziwie podziwiać można pobożną skrzętność Lenartowicza w spisaniu każdego słowa, które z ust Adama usłyszał. Znajdzie tu czytelnik zdania o Napoleonie i o Francji (str. 21) (niestety nie przeczytując, jak Napoleon skończy), o klasztorach (22), o Z. Krasieńskim (25), o ks. Marcelinie Czartoryskiej i o Szopenie (27 i 29) — także ciekawy list Szopena — o Zmartwychwstańcach, o ouvrierze, żołnierzu francuskim (40—42), o W. A. Maciejowskim (43) i t.p. Znajdzie słowa tłumaczące, jak i kiedy powstał wiersz do Matki Polki (51). Anegdota na str. 19 była już znana — a anegdota o wiewiórce, niemiłe na nas sprawiła wrażenie, bo zawsze to było dziwactwo.

Dodajemy do tego, że obok mistrza grupuje autor cały zastęp zajmujących postaci. Przesuwają się przed oczyma naszymi: Służalski (nawiasowo sprostować wypada, że przeżył Adama o kilka lat, nie miesięcy) Józef Zaleski, który podróżował z M. po Szwajcaryi, Korylski, który pomagał Napoleonowi w wyprawie bułońskiej, Herman i Józef Potoccy, Niegolewscy, Ks. Jełowicki, Sobański, Kwiatkowski, (który dostarczał Szopenowi motywów) Gajewski, Panusiewicz, Estkowski, Błhdan Dziekoński i inni. Dodajmy, że rozsypał autor po całej książce na uwagę zasługujące zdania o poezji, o Krasieńskim, Słowaackim, o cierpieniach życia tułaczego, o smutnych czasach i ludziach dzisiejszych — a zdaje się nam, że już nikogo zachęcać nie będzie potrzeba do przeczytania tej wdzięcznej i ważnej książeczki, która wzbogaca zasób źródeł do żywota Adama Mickiewicza i trwałe zajmie miejsce obok Listu Domejki, Listów A. E. Odyńca, i p. Maryi Góreckiej. Szczera wdzięczność należy się autorowi za tak sumienne i uczciwe splcenie długu, jaki ma w obec narodu każdy, co miał szczęście znać Mickiewicza. Mamy nadzieję, że między innymi J. B. Zaleski, Goszczyński, Siemiński także tego obowiązku dopełnią.

H. Z.

Poezye i powieści.

Pierwsza księga Iliady. Próba przekładu wierszem miarowym przez E. C. W Przeglądzie Polskim ze Stycznia 1875, str. 108—125.

69] Dobre przekłady obcych dzieł poetycznych dla tego tak trudnem są zadaniem, że ściśle trzymanie się oryginalu łatwo sprowadza nienaturalność i niewolniczość,

gdy tymczasem domagamy się od tłumacza, aby nieuronił nie z polotu oryginalu, jego metryczności i siły. Z pogodzenia tych sprzeczności tylko prawdziwie poetyczny talent może się pomyślnie wywiązać. Dla tego też zachodzi wielkie pytanie, czy tłumacz niebędący poetą ma się kusić o to, ażeby przekład swój ubrać we formę metryczną, czy też niepowinien raczej ograniczyć się do tego, aby skutecznie dobre i wierne tłumaczenie prozą. Pytania tego, które przypomniał nam świeży przekład I. ks. Iliady nieznanego autora, trudno stanowczo rozstrzygnąć.

W każdym jednakże razie ustęp podany przez p. E. C. na próbę ma niemałą wartość i bardzo bylibyśmy autorowi wdzięczni, gdyby tłumaczeniem całej Iliady polską publiczność obdarzył. Poetycznym przekład ten nie jest, przynajmniej nie wszędzie; heksameter jednak w którym jest napisany, chociaż niezastąpił wyższego natchnienia, to nadał tłumaczeniu pewną rytmiczność i dźwięczność tak, że w skutek tego korzystać zeń będą mogli nie tylko ci, co z pomocą tłumaczeń Iliadę w oryginalu czytają, ale i ci, co dla nieznanomości języka greckiego do przekładu są ograniczeni. Jestto tłumaczenie z pierwszej ręki, wypracowane tak starannie, że zachowało nawet liczbę wierszy oryginalu; straciło ono lubo nie wiele w skutek formy wierszowej na filologicznej ścisłości, ale ani jednej myśli nie uroniło.

W całej księdze pierwszej zaledwie kilka spostrzegliśmy nieznacznych usterek. Imiona własne zostawił autor wiernie z przemianą przyjętą w polskim języku, tylko jedno „Diosa” w w. 86 lepiej byłoby zmienić na Zeusa. Rzadko tylko spotykamy się z niezupełnie dobrze zrozumianym tekstem, jak np. w 46 w.: „strzały świstały” zamiast: zabrzękały; 459 „ciągną za szyję ofiary” zamiast: podnoszą głowy ofiar do góry; 98 „wypukłooką” zamiast: z okrągłemi oczami; 409 „w morze zapędził” zamiast: do morza przyparł, albo 543 „nowiny, o której się dowiesz” zamiast: myśl, jaką poweźmiesz; mało możemy wyliczyć mniej stosownych wyrazów, jak 103 „serca zakątek miał pełny gniewu”; 379 „odesłał” zamiast: odprawił; 517 „zaperzywszy się” — lub za ostrych jak 159 „łotrze” zamiast: bezwstydnym. W miejscach, gdzie Homer wprowadza przemawiającego bohatera, niepotrzebne są w przekładzie dodatki: „wypalił prawdę”, „odeciał się” i t.p., bo właśnie tem się Homer odznacza, że gdzie sam opowiada swojami słowami, opisuje rzecz przedmiotowo, nie zdradając przytem żadnego ani wzburzenia ani zadowolenia swojego.

Na obranie heksametru zgadzamy się w zupełności — w skutek tłumaczeń miarowych język nasz zyska na giętkości i rytmiczności — ale możeby się dało zachować heksameter ściślejszy, tak jak to uczynił Mickiewicz, który w Powieści Wajdeloty nigdzie na początku wiersza nie kładzie amfibrachu (— — —), podczas gdy u tłumacza naliczyliśmy takich wierszy 34 na 610.

Czekamy więc niecierpliwie na przekład całej Iliady pióra p. C., bo mając ją w takiej postaci łatwiej nam już będzie czekać na prawdziwie poetyczne odтворzenie arcydzieła pierwszego z greckich poetów.

L. K.

Wincenty Rapacki art. dram.: **Wit Stwos**, dramat w 5 aktach z faktów dziejowych. Warszawa 1874 str. 139, małe 8vo.

70] Oddawna już wyglądaliśmy zapowiadzanego utworu, który jak głoszone naprzód, stanie się klejnotem niebogatego dotąd inwentarza literatury naszej dramatycznej. Nareszcie ukazał się i — zawodu doprawdy nie doznaliśmy. Nie chcemy przez to twierdzić, iżby to było dzieło gienialne; ale już poprawny, dobry dramat trzeba uważać za cenny nabytek, tam gdzie i takich brakuje. Na pierwszy rzut oka widać tu odrazu mistrza efektów scenicznych, który zupełnie panuje nad techniczną częścią poematu, któremu monologi, dyalogi, sceny zbiorowe, sceny sądowe i śmierci najmniejszej trudności nie robią. Do tego dodajmy bardzo rozumne zakreszenie osnovy, język jedyny i dobry, a wiersz (biały, jedenastozgłoskowy) gładki, nawet piękny: i oto mamy obraz pierwszego wrażenia, pobieżną charakterystykę całości, której prócz kilku niedokładności stylistycznych, kilku usterek gramatycznych — nie podobno zarzucić się nie da. O tych zresztą uchybieniach (jak: „twoje prace podobne do ojca,“ zam. „do ojców“ str. 10; „srom“ w znaczeniu „uszanowanie“ 83; „wdzięcznim ci“ zam. „wdzięczniśmy ci“ 33; „przemkło“ 50) wspominać jedynie dlatego, że tam gdzie forma gra prawie ważniejszą rolę niż treść i takie drobności rażąco radziłybyśmy usunąć.

Jednakowoż, lubo niedostrzegłeś uderzających błysków gieniuszu, nie rzucisz książki po przeczytaniu, lecz mimowolnie czujesz się zachęconym do powtórne- go wzięcia jej do ręki, i — pochwała to nie mała — przy ponownem odczytaniu zaczynasz po za poprawnością dostrzegać różnych prawdziwych piękności. Prostota treści, — jest bowiem przedmiot prawie ten sam co w poemacie Pola: zazdrość współzawodników cechowych oskarża Stworza o stosunki z czartem; złość ich i podła intryga sprowadza nań jedną z najdotkliwszych kar, napiętnowanie własnym monogramem — otóż prostota nadaje poważny spokój sztuce i przez swą jasność dozwala używać wszystkich piękności wykończenia szczegółów. Jakżeż wszystko się zehodzi, aby ześrodkować naszą uwagę około bohatera! Mamy najżywsze społeczenie dla zagrożonej jego osoby; niegodziwość jego przeciwników napęłnia nas aż do samego końca rosnącą obawę o los jego; wynosimy wreszcie z całej sztuki wysoki szacunek dla szlachetnego charakteru artysty, mimo którego wszakże nie jest on wcale jakąś istotą nadludzką, ideałem nieprawdopodobnym.

Już to prawda jest w ogóle zaletą wszystkich postaci występujących w tym dramacie — są one żywe i możebne; prócz może jednej Beaty córki Stwosza. Piękna, poetyczna, dziwnie rozumna, zbyt jednak duchem samym żyje. Przez to traci się bardzo ważny jeden efekt. Poznawszy w ekspozycji, (która lubo trochę długa jest jednak bardzo zręczną) uwielbienie Beaty dla Albrechta, artystycznego współpracownika Stwosza, i jego też nieograniczoną miłość dla niej, mamy wszelkie prawo spodziewać się, że ten stosunek do czegoś prowadzi, że będą się starali urzeczywistnić swój wzajemny afekt. Tymczasem nie; na propozycję samego Stwosza, Albrecht odmawia:

Jam dla niej bratem, ojcem, przyjacielem;

Innego miana ona dla mnie nie ma:

Zrodzi się z czasem, dlatego.... czekajmy.

I czeka, ale nie długo, bo już w 2gim akcie napadnięty przez zbrodniczych nieprzyjaciół Wita, umiera nie odważywszy się na oświadczenie swej miłości, i nie

zostawiając nawet po sobie wdowiej żałoby, bo i Beata twierdzi, że serce jej tęsknota za krajem owładnęła

Tak silnie, że już na inne uczucia

Niema w niem miejsca.

Wygląda to trochę nienaturalnie, i pozbawia resztę dramatu całkowicie intrygi miłosnej, a Beatę naszej sympatii.

Za to inne charaktery, zwłaszcza ujemne są nader prawdziwe i plastyczne, a co też podnieść należy, dają razem znakomicie wykończony obraz życia w artystycznym średniowiecznym mieście niemieckim. Cóż za życie tryska w tem działaniu i ruchu dracjów norymberskich, pisarza miejskiego, Banera spekulanta — a z drugiej strony artystów, przyjaciół Stwosza, z których jeden Vischer posuwa swą przyjaźń tak daleko, że przemocą chce uwolnić uwięzionego kolegę, drugi zaś Dürer napiętnowanemu już osładza doleg manifestacją publicznego holdu.

Ze wszystkich jednak postaci najbardziej skończonym charakterem jest Steinbauer, cechmistrz rzeźbiarski, główny Stwosza przeciwnik. Jego to antagonizm wpechnął Stwosza w nieszczęście i hańbę. On nie mógł znieść żeby jakiś tam przybysz zaćmił swemi robotami i swemi nowymi poglądami na rzeźbę, całą dawną sztukę cechową. On z pomocą pisarza podburzył społeczeństwo, zdemoralizował rajców i cechowych, a skłoniwszy Banera do zaprzysiężenia fałszu, także i majątkowo przyprowadził Wita do zguby. Ma wprawdzie i Steinbauer chwilami wyrzuty sumienia, lecz w końcu nie cofa się przed najstraszniejszą ostatecznością. Monolog jego podczas piętnowania Stwosza policzyć trzeba do ustępów najznakomitszych w sztuce.

Gdybyśmy mieli wskazać ustępy, które szczególnie zwróciły naszą uwagę, to wyliczylibyśmy nader tragiczną śmierć marzycielskiego Albrechta w obecności mistrza (za którego umiera) i ubóstwionej Beaty; potem wysokiego efektu scenę końcową 4go aktu, w której Beata przybiega błagać cechmistrza o litość nad ojcem a wywoławszy tem zamiast sumienia tylko objaw cynizmu woła z oburzeniem: podły! Dalej wszystkie sceny ludowe na placach publicznych, rozmowę w pierwszym akcie między Witem, a Steinbauerem i jego współnikiem Tucherem, wreszcie wybornie przeprowadzoną w akcie 5tym grę wzajemną dwóch łotrów Steinbauera i Banera, którzy się i potrzebują i boją jeden drugiego.

Wszystko to nabiera dopiero światła i uroku przez wzniosłą myśl przewodnią, która jest właściwą treścią sztuki, i przebija w haśle zaczerpniętem z Kochanowskiego. Na tle tragicznej historii Stwosza, autor daje obraz tego, co się dzieje w duszy poety, wśród mizeryi poziomego społecznego życia, gdzie najczęściej uleść musi materyalnie pod ciosami otaczającej go zazdrości i brudnej rachuby. Lecz zarazem widzimy, jak prawdziwie wyższy duch artysty, choć na tem polu nie dorósł walce, w pierwiastku moralnym znajduje siłę do walki, i zamiast upaść w niej na duchu, owszem przez nią dopiero się oswobadza z ziemskich ułomności, i przez nią dojrzewa do prawdziwej równowagi duchowej. Dopiero po ostatecznem upokorzeniu Stwosza poznaje, że po za światową chlubą, w której dotąd sądził, że znajduje szczęście, jest jeszcze rzecz wyższa: wewnętrzne udoskonalenie. — Obok tej myśli przewodniej, jeszcze druga rzecz przyczynia się do podniesienia uroku dramatu; oto poetyczny powiew miłości ro-

dzinnego miejsca; wszystko złe spada na głowę Stwosza jakoby kara za to, że goniąc za sławą opuścił Kraków rodzinny, gdzie go otaczała przychylność. Czyby ten wdzięczny pomysł miał może zawierać jakąś aluzję do położenia samego autora?...

Tyle o zaletach. — A więc będzie to pierwszy dramat polski, dzieło otwierające nową epokę w literaturze naszej teatralnej? Tego nie śmielibyśmy powiedzieć. Od dzieła pierwszorzędnego wymaga się przede wszystkim oryginalności. Otóż do tej nie może sobie Wit Stwosz całkowitego rościć prawa. Pominąwszy już reminisceney w wyrażeniach — żeby przytoczyć wyrażenie „myśli mych przedzę“ użyte na str 50 — to i w scenach całych i w postaciach znać czasem wpływ innych dramatycznych pisarzy. Komuż np. przy owej scenie ludowej przed kościołem, gdzie pisarz Deichsler figura śmieszna i popisująca się erudycją poburza lud przeciw Stwoszowi, komuż to nie przypomni początku 2go aktu w Egmoncie i pisarza Vansena? Przy skrupulatnijszem badaniu kto wie czy jednego i drugiego rodzaju reminiscencyj nie dałoby się więcej wynaleźć.

Ale nie będziemy szukać. Nie to głównym naszym zarzutem. Przy wszystkich zaletach, przy licznych pięknościach, które podziwiamy jak należy, przy całym mistrzostwie w władaniu efektami scenicznymi jest przecież coś, co sprawia że nie czujemy się dramatem porwani, zostajemy zimni, jak gdybyśmy czegoś więcej się spodziewali. A nie jest to uczucie nasze osobiste, ale o ile wiemy większej liczby osób co rzecz tę czytali. Zkąd to pochodzi? Zapewne ze stosunkowo zbyt ubogiej treści na takich rozmiarów dramat. Bez kwestyi nie z błędów w stronie technicznej, tylko z braku twórczej siły w rozwinięciu pomysłu. Może naszą myśl wyjaśnimy porównaniem tego utworu do kompozycyi utalentowanego wirtuoza. Zarzucić prawie nie ma czego, a jednak czuje się że to nie Mozart lub Beethoven tylko mistrz formy. Przedstawienie utworu w teatrze wszystkie te wątpliwości najlepiej rozświeci.

S. Tz.

Bibliografia.

Dr. Zygmunt Celichowski: Dwa Kalendarze na r. 1528 i 1529, według egzemplarzy biblioteki kórnickiej, opisał... (Oddruk z Warty.) Poznań 1874. 8vo. str. 16.

Tenże: *Ars moriendi* druk ksylograficzny. Opis egzemplarza biblioteki kórnickiej, skreślił... (Odbitka z Gazety Toruńskiej.) Toruń 1874. w 8vo str. 15.

71] Bibliotekarze nasi za mało oddają się studyum bibliograficznemu: tem milej powitać wstępującego na tę mozolną drogę bibliotekarza Książnicy Kórnickiej. — Niedawno ugruppował on źródła odnoszące się do abdykacyi Jana Kazimierza, obecnie opisuje kilka białych kruków.

W pierwszej rozprawie opisuje Kalendarz Mikołaja z Sadku z r. 1528. p. t. Wysłowienie znaków n y e b y e s k i c h; słusznie dowodząc, iż to jest pierwszy Kalendarz z pewną datą. Dowodzi też, iż Kalendarz ten jest w rzędzie druków polskich szóstym z rzędu. Może tak nie jest, jeżeliby się dała kiedy udowodnić autentyczność Biblii z r. 1520., Zwierciadła z r. 1521., Arytmetyki przed r. 1522., do czego dorzuciłbym jeszcze dziełko Antonina: Sejm zwierząt, wydane w Krakowie u Unglera w r. 1521. Kalendarz z r. 1528. p. t. Wystowienie, był już opisywany w Dzienniku Warszawskim r. 1853. Nr. 163., co dla wiadomości p. C. nadmieniam.

72] Zajmujący jest również opis „*Ars Moriendi*“ w drugiej pracy p. C. choć nie mógłbym przyjąć kilku stanowczych twierdzeń. Oświadcza P. C., że jak Kolumbowi i Kopernikowi, nie podobna zaprzeczyć ich odkryć, tak też palma wynalazku Druku pozostaje przy Guttenubergu. — Może tu nie o pierwotność wynalazku idzie, ale o udowodnienie onego, ustalenie lub zastósowanie. Inaczej możnaby twierdzić, że przed Kolumbem Skandynawowie docierali do Meksyku, że przed Kopernikiem Martianus Capella w swoim kodeksie szkolnym „*Satyricon*“ (którego przez niemal tysiąclecie od w. V. uczono się na pamięć) nauczał „*quod tellus non sit centrum omnibus planetis*,“ że Wenus i Merkury krążą dookoła słońca. — Możliwość snadniej dowieść, że na wiele lat przed Gutenbergiem drukowano czcionkami Donaty i inne mniejsze książki, i że nazwiska Guttenuberga nie spotykamy na żadnym druku, że więc samo już nie wynalezienie (bo wynalzcą właściwie nie był) ale udoskonalenie ostateczne przezeń drukarstwa jest wielce problematycznym. Ale mniejsza o to, bo to ostatnie, jest dotąd spornem. Przejdźmy do samego *Ars Moriendi*. Pan C. zowie je dziełem ksylograficznym i utworu Mateusza z Krakowa, którego nie wie czy uznać za Pomorzycza czy za Polaka. — Muczkowski w rozprawie swej z r. 1851., dowodzi jego polskości, ale nie zbyt gruntownie. Dopiero temi czasy zwrócił p. Żegota Pauli uwagę moją na to, iż w Metryce Uniwersyteckiej Pragskiej, zapisał się nasz Mateusz kilkakrotnie (będąc w Pradze Profesorem.) jako „*narodu Polskiego*,“ zatem dowody Niemców o pochodzeniu jego z Pomorza, w obec tego upadają stanowczo.

Atoli samo *Ars moriendi* w mowie będące, nie jest piórą naszego pisarza, lecz na wzór jego „*Ars bene moriendi*,“ „*Tractatus de arte bene moriendi*“ urobione przez nieznanego pisarza.

Ostatnie dzieło, w ćwiartce z drzeworytami, wydane w 15 stóleciu, bez wyrażenia roku i miejsca, posiada Biblioteka Jagiellońska. Druk opisany przez pana C. nie jest owym pierwszorzędnym rzadkością oddzielnie ksylograficznym, jakkolwiek jest niezmiernie rzadkiem. Te bowiem co są niewątpliwie drzeworytne, nie mają druku na odwrocie ryciny, lecz osobno jest ryta rycina, a osobno tablice tekstu tak, że mogą być zlepiane grzbietami na sposób kart do gry.

Czy egzemplarz Kórnicki jest istotnie ksylograficzny, nie umiem z opisu osądzić. Wypadałoby ścisłej go rozpatrzyć. Nadewszystko nasuwają się pytania jakiego kształtu i wysokości są litery (czy mszałowe?), czy są inicjały tłoczone czy domalowane? Czy inicjały są proste lub floresowate? Czy są sygnatury lub kursorze? Czy tekst tłoczony w Niemczech czy w Hollandyi? (Hollenderskie mają osobliwą literę *t* w kształcie *t*₁ to jest z kresą prostopadłą opadającą od przekreślenia litery). Czy między literami nie ma dwu i trzech obok siebie jednaki, lub jakiej litery wywróconej; co świadczyłoby, iż to druk a nie ksylogram. — Również wystąpienie wyrazu *credite* po za równą linią marginesową mogłoby przy innych wątpliwościach (jeżeliby te okazały się) nasuwać domysł, iż to nie tablicowy druk, lecz składany czcionkami.

Te nasuwają mi się kwestye do rozwiązania, po czem będzie można odnieść druk ten do tablicowych lub do późniejszych drukowanych; albowiem takie *Ars moriendi* bywało także czcionkami tłoczone, na sposób tablicowych. Pan C. polegając na Heineckem, Hellerze

i Weiglu, nie wie ostatecznie, do jakiej kategorii dziełko to zaliczyć. Jeżeli istotnie było z r. 1480., to tem więcej mógłby to być druk, a nie ksylogram. Na niewidziane nie podobna wyrokować, ale o ile przypuszczać godzi się, mniemam, że to jest ten sam druk, który Guichard (*Recherches sur les livres xylographiques* w *Bulletin du Bibliophile Belge* 1840—41) przytacza, jako wydanie folio o jednej i o dwu obliniowaniach drukowane i opistograficzne. — Guichard opisuje na karcie 14tej rycinę Chrystusa u stóp Boga Ojca też samą, którą i p. C. podaje za wyróżniającą się od innych edycji. Zwracam w tej mierze uwagę na dzieło Grassego: *Trésor des livres rares* (art. *Ars moriendi*). Możeby także co dało się znaleźć w dziełach: Sotheby: *Princip. typogr.* London 1858 T. I s. 69—74 i 11. i oddział *Germany* s. 10—37. (ma je bibliot. Uniw. Warsz.), w których odtworzono przepyszenie dziesięć tablic odmian *Ars moriendi*. Możeby też i dziełko Bergeau: *Catal. illustrée des livres xylographiques*. London 1865. co wyjaśniło. Dzieł obudwóch atoli nie mam pod ręką.

Jeszcze jedno. Pan C. twierdzi, że najdawniejsza rycina ksylograficzna z datą jest święty Krzysztof z r. 1423. — Tak zdaje się, że nie jest. Reiffenberg dowodzi w *Biblioph. Belge* 1845 I s. 432. iż znalazł rycinę z datą z r. 1418. — Po licznych sporach, znawca w tej mierze Didot oświadczył się za Reiffenbergem. (Obacz: Petzhold: *Anzeiger* 1846. *Serapeum* 1845. Brou: *Quelques mots* 1846. Brou: *Un dernier mot. Messager des sciences hist.* 1846. *Athenaeum* 1845. Delestre. *Opinion* 1846.) A jak Niemcy podejrzewali ową datę z r. 1418. tak nawzajem sławny znawca Dibdin podejrzewał stanowczo datę z r. 1423. — Więc ani tu ani tam nie ma pewności. E.

Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Byłoby rzeczą niesprawiedliwą domagać się od instytucji z organizmem tak świeżym a przytem skomplikowanym, ażeby od jednego razu zdobyła sobie ruch regularny i skończony, któryby jej wielkiemu zadaniu odpowiadał a granice statutem zakreślone wypełniał. Ruch Akademii objawia się w wydawnictwach i w posiedzeniach wydziałów i różnych komisyj. O tym drugim wspomnieć nam dzisiaj wypada a zarazem zdać sprawę z trzech posiedzeń: wydziału filologicznego z d. 4 Stycznia, historyczno-filozoficznego z d. 11 Stycznia, i matematyczno-przyrodniczego z d. 20 Stycznia. Na posiedzeniach tych spotkalismy się z objawami, które wielce nas ucieszyły. Najpierw obok rozpraw przedkładanych przez uczonych krakowskich: hr. Stanisława Tarnowskiego „o Andrzeju Maxymilianie Fredrze“ i prof. Kuczyńskiego „o nowym sposobie oznaczania biegunów matematycznych w prętach magnetycznych oraz ilości nagromadzonego w tych biegunach magnetyzmu wolnego w mierze bezwzględnej“, usłyszeliśmy o kilku rozprawach nadesłanych z poza Krakowa, które są dowodem, że siła atrakcyjna Akademii coraz się dalej rozszerza a niebezpieczeństwo zlokalizowania się znika. Dr. Emil Ogonowski nadesłał pracę „O przyimkach w języku starosłowiańskim, ruskim i polskim“, p. Alexander Petrow „O głosowni dolno-łużyckiego języka“, p. Maurer „Itinerarium Vladislai II Jagellonis“, wreszcie W. A. Maciejowski „Rzecz o Z. A. Helelu jako prawniku i historyku.“ Oby tylko prace te, o ile będą wydrukowane, ścisłością swą naukową odpowie-

działy stanowisku, którego Akademia w publikacjach swych z pominięciem wszystkich innych względów winna przede wszystkim przestrzegać.

Z nieminiejszą radością dowiadujemy się, że dyskusje na rzeczonych posiedzeniach odbyte zdradzały już pewną ruchliwość i budziły interes. Osobliwie zaś wydział historyczno-filozoficzny w obszernej dyskusji około znanych poglądów p. Duchńskiego przez samego ich autora broniących zaznaczył w sposób pocieszający stanowisko Akademii umiejętności. Pan Duchński, narobiwszy zagranicą swemi teoriami tak wiele hałasu, spotkał się właśnie w Akademii umiejętności w Krakowie z ogólnym głosem, który im w imię historycznej prawdy zarzucił przesadę, a w imię nauki brak prawdziwej ścisłości. Dyskusja ta jak w ogóle wszelkie inne dyskusje w łonie Akademii byłyby zresztą i więcej ożywione i gruntowniejsze, gdyby nie ta okoliczność, że na ogólnych posiedzeniach wydziałowych za mało zasiada specjalistów w kierunku, w jakim odczytana rozprawa jest napisana, którzyby przede wszystkim w dyskusji skuteczny udział wzięść mogli. Brakowi temu w ten tylko zaradzićby można sposób, gdyby według przedmiotu czytać się mającej rozprawy, członków odpowiedniej komisji akademickiej na posiedzenie wydziału przyzwano, aby w dyskusji naukowej udział wzięść mogli; dotychczas stoi temu na przeszkodzie § 8my statutu. O ile zamknięcie się to wydziałów oddziaływa znów niekorzystnie na żywotność komisyj, o tem znajdziemy sposobność za innym razem pomówić.

Na zakończenie zapisujemy, że w miesiącu bieżącym trzy komisje odbyły swe posiedzenia, antropologiczna, językowa i filozoficzna. Na językowej przedłożono pracę Dra Wistockiego „Kodex łacińsko-polski z połowy XVgo wieku: *Glossa super epistolas per annum dominicales*“, na filozoficznej Dr Straszewski przedstawiał obszerną pracę o Janie Śniadeckim. Jest to już trzecia monografia o Śniadeckim, która w ostatnich latach się ukazuje. Ocenieniem poglądów Śniadeckiego młodzi adepci filozofii w szranki swego zawodu wstępują. Czekajmy, który odniesie zwycięstwo.

Z publikacyj ukazało się w b. m. dzieło prof. Walewskiego pod tyt.: „Dzieje bezkrólewia po Janie IIIcim“, wydane subwencją akademii, o którym we właściwym miejscu zda „Przegląd“ sprawę.

Krakowie d. 25 Stycznia 1875.

Spis nowych książek nadesłanych redakcyi.

- Białecki Antoni: Prawidłowość stosunków międzynarodowych. Warszawa 1874. 16° (Str. 38).
 Chyliński, Michał: Hugo Kołłątaj w obec Targowicy. Lwów 1875. (Str. 32.) 8°. 40 cent.
 Kostecki, Antoni: Rocznik szkolny; urządzenia i ustawy szkolne, przepisy, wiadomości statyst. Kraków, Wild. 1875. 16. (Str. 303.) 1 Zlr. 20 cent.
 Luttes des peuples Léchites contre les Ouraliens. T. I i II. Paryż. 1874. 8° (Str. 523 i 499.).
 Merwart, Karl: Erster Zusammenstosß Polens mit Deutschland. Graz. Leykam. 1874. 8°. Str. 118.
 Nationalitätsfrage, die, der polnischen Bevölkerung unter preussischer Herrschaft, von einem westpreussischen Polen. Poznań. 1875. 8° (Str. 34).
 Roniecki, Emil: Barbara, tragedia w 4 aktach. Lwów Milikowski. 1874. Str. 161. 8°.
 Simon, Julius: Nauka bezpłatna i obowiązkowa, z franc. przełożył Karol Forster, dodając z „Czasu.“ Wychowanie ludu i własne: I. Słowo o wychowaniu publicznem. II. Zadanie obecnej chwili. Berlin 1875. (Str. XVI i 133) 8°. 1 Tal.